Nr. 17. Lwów, Niedziela dnia 23. Grudnia 1877 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni T. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

OSTATNIE WYBORY WE LWOWIE.

Nie jest naszym zamiarem oceniać kandydaturę dra Wolskiego, jego życie polityczne i nie polityczne, jego kwalifikacye na posła, ani też zajmować się sprawą jego wyboru, oceniać przyczyny wybrania Wolskiego, krytykować jego przeciwników i ich sposób postępowania przy wyborach, to wszystko do nas nie należy. Jest to zadanie pism codziennych, politycznych, a w program naszego pisma nie wchodzi.

Chcemy tylko zwrócić uwagę na niewłaściwość broni użytej przez p. Wolskiego, na niebezpieczny bo demoralizujący sposób wojowania. Pan Wolski w swojej mowie kandydackiej po dwakroć wyraźnie oświadczył: „Nie będzie tu rozwinięta, moi Panowie, żadna za mną agitacya. W r. 1869 w czasie wyborów, w których upadł p. Ziemiałkowski, dałem dostateczne dowody, że znam się na agitacyi i jeżeli chcę, potrafię ją urządzić. Tym razem prócz niniejszego wystąpienia żadnego kroku nie zrobię. Jeżeli się moja kandydatura utrzyma, to utrzyma się dzięki potędze sytuacyi, dzięki przyzwoitości publicznej (!)“ — dalej mówi — „za tym kandydatem (miejskim) będzie rozwiniętą najsilniejsza agitacya, podczas gdy kandydat narzucający się (Wolski) żadnej agitacyi nie rozwinie“.

Mało to nas obchodzi, że p. Wolski nie dotrzymał obietnicy i że rozwinął agitacyę za swoją kandydaturą, tylko że ją prowadził w sposób nie właściwy, obrażający nie już godność poselską, ale godność ludzką, że z zapamiętałością godną lepszej sprawy, rzucił się z obrzydliwemi plakatami, w których powiada takie fałsze: że ktoś z przyjaciół p. Dobrzańskiego poszedł do pp. Rogosza i Rewakowicza i powiedział, że chce kupić Dziennik (co jest nieprawdą) — że „Dziennik Polski“ tak źle stoi, że ledwie dyszy (co jest nieprawdą i jest niegodziwem podkopywaniem kredytu). Pomijamy plugawe wycieczki przeciwko innemu kandydatowi, bo kto chce kogoś błotem obrzucać sam musi się w niem wprzódy zawalać. Człowiek tylko sam może się zbrudzić, nigdy zaś nie potrafią tego ludzie inni pomimo jego woli, to też wszystkie błoto, które pan Wolski z Wiednia przywiózł i na swoich afiszach niem się osmarował, przy nim pozostanie i odwiezie je napowrót do Wiednia. Nie możemy jednak nie wyrazić naszego oburzenia na podobny sposób wojowania, na podobną agitacyę. P. Wolskiego, który dla miłego grosza, czy z innych tego rodzaju pobudek ekspatryował się, może to mało obchodzić jakie skutki w kraju zostaną z podobnego postępowania, naszym jest jednak obowiązkiem zaprotestować i dołożyć starań aby podobne awanturnicze kandydatury po raz drugi się nie powtórzyły.

Pan Wolski wystąpił w sposób cyniczny przeciw dziennikarstwu krajowemu i gdyby słowa jego nie wywoływały oburzenia, byłyby trucizną podkopującą zbawienny wpływ dziennikarstwa. Prawdą jest, że dziennikarstwu naszemu możnaby niejedną rzecz zarzucić, że nie umiało ono zawsze godnie nieść swego sztandaru, ale nikt nie zaprzeczy, że dziennikarstwo jest potęgą wszędzie szanowaną, a w naszych stosunkach do niego należy rola nierównie ważniejsza, ono wypowiada myśli i dążności społeczeństwa, ono go broni, ono walczy za prawa narodowe, ono jest przedstawicielem narodu. Jeżeli dziennikarstwo zbłądziło kiedy, jeśli nie było na wysokości swego zadania, to społeczeństwo powinno było inne dziennikarstwo postawić. Widocznie jednak to, jakie jest, najlepiej odpowiada obecnym potrzebom kraju, skoro czynione próby, jak założenie *Ojczyzny*, *Kroniki Codziennej*, nie odniosły skutków, pisma te nie znajdując poparcia w publiczności, poupadały, a dawne pisma utrzymały się. Takie mamy dziennikarstwo, jakie nam jest potrzebne, jakie najlepiej odpowiada naszemu położeniu. Możemy z niem polemizować, wytykać błędy, starać się je naprawić, ale potępiać, bezcześcić, plugawić i starać się zabić je w opinii, może tylko człowiek, dla którego dobro kraju jest rzeczą obojętną.

Najszkaradniejszem wszakże w wystąpieniu p. Wolskiego było rzucanie się na p. Dobrzańskiego i staranie się go spotwarzać na wszelki możliwy sposób. Tego samego p. Dobrzańskiego, którego p. Wolski, jak sam powiada 20 lat był przyjacielem i którego bronił w sądzie przed wszystkiemi możliwemi zarzutami. Prawda, że p. Jan Dobrzański ma wielu nieprzyjaciół, że mu robią tysiączne zarzuty. Ale niechnoby pan Wolski spróbował tak jak p. Dobrzański przez lat 30 być publicystą i poświęcać się zawodowi tu bliczuemu, ciekawi jesteśmy jakby wyglądał.

Nie myślimy tu występować w obronie p. Dobrzańskiego, bo ani on naszej obrony nie potrzebuje, ani ta nikogoby nie przekonała. Ludzie polityczni mają swój czas kiedy ich na rękach noszą, kiedy ich spotwarzają i kiedy znowu przed nimi czołem biją, to już przywiązane do ich charakteru politycznego i jest z nim nierozłączne. Chcielibyśmy tylko zwrócić uwagę publiczności na to, że życie dziennikarza, zwłaszcza z wybitnym charakterem politycznym, ma tyle cierni na drodze, że godziłoby się i byłoby pożądanem być cokolwiek pobłażliwszymi w sądzeniu i bardzo ostrożnymi w wydawaniu wyroków. Moglibyśmy tu tysiące najwybitniejszych przykładów przytoczyć, jak sądy pospiesznie wydawane na ludzi politycznych, bywają niesprawiedliwymi, i jak one są częstokroć w zupełnej sprzeczności z sądami potomności. Nie stosujemy tych słów wyłącznie do p. Dobrzańskiego, tylko w ogóle do ludzi którzy w życiu publicznem z wybitnym charakterem politycznym występują. Wynosić pod niebiosa i potępiać z kretesem jest u nas w zwyczaju (w czem zresztą mało się różnimy i od innych narodów), a wszakże gdybyśmy cokolwiek byli ostrożniejsi w sądach, nie opierali ich na lada pogłosce, na faktach zmyślonych, mielibyśmy więcej ludzi, na których w potrzebie liczyć byśmy mogli. Dziś jeżeli zechcemy rozglądnąć się po kraju i wynaleść osobistość z wybitnym charakterem politycznym, do której mielibyśmy zaufanie, to jej nie znajdziemy. A czyż rzeczywiście tak źle stoimy, abyśmy nie mieli ludzi godnych powszechnego szacunku? Tak źle nie może być. A jednak wszyscy są tak osmarowani, że ogół ludności, massy, do nikogo zupełnego zaufania nie mają.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Matka spostrzegła wielką zmianę w synu, ale przyczyn jej nie umiejąc odgadnąć, przypisywała to wiekowi; poleciła tylko panu Zarankowi, aby się go starał rozerwać i zabawić.

Dnie płynęły roztopionym ołowiem, ciężkie, duszne, nieprzeżyte. Często nieszczęśliwa niewiasta pragnęła bodaj piorunu jakiego coby je przerwał płomieniem i zniszczeniem... Nic nie przychodziło... Krótki przeciąg czasu wydawał się wiekiem,.. Ludzie spoglądali, wzdychając, na wdowę, na panicza i nic dobrego nie rokowali z ich twarzy i posępnego milczenia.

Obiecywało się to przeciągnąć do nieskończoności, bo nikt odwagi nie miał na krok jakiś stanowczy, gdy jednego rana oznajmiono pani starego jej plenipotenta, owego Dzięgielewskiego, który za życia Spytka już nieograniczone posiadał zaufanie rodziny i w ręku swem miał zarząd dóbr i wszystkie dotyczące ich sprawy. Był to starzec siwy ale czerstwy, człek nieposzlakowanej poczciwości, chłodny na pozór, a w rzeczy pełen przywiązania do domu i kochający rodzinę pańską jak swoją. Widywała go u kaplicy wdowa, czasem na chwilę w dnie świąteczne u stołu, lub gdy jakiś interes wymagał podpisu, rzadko jednak trafiło się coś tak pilnego, by o osobną audencyą prosił pani.

Tym razem zażądał jej pilno i przyszedł zafrasowany widocznie. Dosyć było pani Spytkowej spojrzeć nań, aby coś niepomyślnego odgadnąć. Stary Dzięgielewski skłonił się, a na zapytanie co go sprowadza osądził słusznem nie obwijać prawdy w bawełnę.

— Przychodzę ze złą wprawdzie wiadomością, a przynajmniej z kłopotem — rzekł — ale w istocie nie jest to nic nowego, choć wygrzebanego z nowem przygotowaniem groźnem. Będziemy mieli proces...

— Z kim? o co? — zapytała wdowa.— Pan wiesz, że wszelkiego powodu do spierania się po sądach mąż mój unikał. Cóż się stało? co zaszło?

— Jest to rzecz stara, śmieszna, przedawniona, a jednak mogąca wiele kosztować i pieniędzy i pokoju. Zrobić nam nic nie zrobią, ale męczyć mogą.

— Któż? co? za co?

— Proces to kilkadziesiąt letni, zgrzybiały, ale nudny być może w nowych rękach zapobiegliwego i zręcznego człowieka. Spytkowie, nabywając Mielsztyńce dwieście temu lat z okładem, nie dopilnowali się należycie. Majątek był prawie jeszcze niepodzielony; brat który go sprzedawał, choć nim władał, nie miał ustępstwa formalnego od rodziny. Sprzedaż była w dobrej wierze zrobiona ze stron obu, ale nieprawna. Rodzina sprzedającego po jego śmierci wytoczyła proces o Mielsztyńce, o posiadanie nielegalne. Walczyliśmy o to; ale sprawa gaszona, tłumiona, przewlekana, nigdy całkiem nie była ukończoną. Nie wiem jaką drogą owa pretensya do Mielsztyniec, przeszła w ręce ojca Jaksy.

— Więc to pan Jaksa? — spytała wdowa żywo.

— Nie, nie on, jak się zdaje — rzekł Dzięgielewski — ale ktoś co nabył czy dostał prawa jego, zapewne dawniej, czy teraz, nie wiem... p. Nikodem Repeszko — dodał pełnomocnik. — Repeszko jest sąsiadem Mielsztyniec, *homo novus;* niedawno tu przy był i mało go znamy, ale dotąd nie z najlepszej strony. Jest chciwy, przebiegły, twardy... Proces z nim to może być rzecz wiekuista. Wygramy go, ale nas będzie ciągał po trybunałach bez końca...

— Wszakżeby go można pewnie zagodzić czemś — spytała wdowa trochę niespokojnie.

— Tak i ja sądziłem — odparł Dzięgielewski, który chłodno brał rzeczy i strwożonym się być nie zdawał — tak sam sądziłem i nim przyszedłem niepokoić panią moję, jeździłem do niego, myśląc, że się to da lada czem raz na zawsze załatwić. Ale człek słodki jak miód, okazał się twardym jak kamień. Roześmiałem mu się w oczy, gdy mi na seryo powiedział, że mu się całe Mielsztyńce, ni mniej ni więcej należą. Po takiem wyznaniu, nie było co traktować nawet z szalonym... ale...

— Możesz to być groźnem? — pod chwyciła wdowa. — Ja nie znam prawa, ale prosty rozum wskazuje, że posiadanie dwuwiekowe samo już daje pewną rękojmię, że było na czemś oparte, że...

— Tak jest — przerwał starzec — ale jeśli w przeciągu tych lat dwóchset nieustannie co rok, co kilka powtarzano manifesta, protestowano przeciwko gwałtowi, zastrzegano się od przedawnienia, naówczas trybunały uwzględnić to muszą. Nie sądzę byśmy przegrali, ale proces będzie długi i kosztowny.

— Dla obu stron — odparła wdowa.

— Zapewne z tą różnicą, że majętniejszych zawsze on więcej kosztuje...

— Jestże na to rada jaka?

— Będę się starał wyszukać ją — ci szej odpowiedział plenipotent. — Tymczasem osobnego potrzebuję upoważnienia i osobnych na to funduszów.

Już po tych naradach, które się w prędce skończyły, staruszek wychodził, gdy go pani Spytkowa zawołała.

— Mówiliście mnie — rzekła — że pretensyą tę do Mielsztyniec nabyli Jaksowie. A więc od kasztelanica ona przeszła do tego pana. Zdaje mi się iż nowy sąsiad nie tak dawno nabył Studzienicę, więc poźniej jeszcze musiał dostać ten proces. Nie czujecież w tem ręki... ręki — dodała mimowolnie rumieniąc się — naszego dawnego nieprzyjaciela... kasztelanica, który zdawał się przecie przejednany i zbliżył się do nas? Nie jest li to jego sprawa? nie należałoby...

Nie dokończyła, stary powrócił od progu.

— Dla różnych przyczyn — rzekł ciszej — unikałem wspomnienia tego pana. Nie chciałem uszów pani trudzić opowiadaniem o nim. Jednakże toż samo właśnie przyszło mi na myśl i spowodowało, że zaraz w początku, mimo największego wstrętu do osoby, udałem się do tych nieszczęsnych Rabsztyniec. Domyśliłem się w tem wszystkiem roboty Machiawelskiej człowieka, dla którego nic świętem nie jest..

Pani Spytkowa zadrżała i spojrzała bystro na Dzięgielewskiego. Stary był spokojny i mówił nie domyślając się, jakie wrażenie słowa jego uczynić mogły.

— Pojechałem — ciągnął dalej — do tego wilczego gniazda. Jakimś cudem go tam zastałem, bo to się włóczy i tłucze, jak Marek po piekle, całe życie. No, ale tym razem siedział w domu. Co za dom! cygański szałas często pozorniej się wydaje.

— Jakże w takiej nędzy?

— Niewątpliwie, bo nieład i rozpusta prowadzi ją za sobą — mówił dalej plenipotent. — Przyjął mnie, widocznie domyśliwszy się o co chodziło, choć udawał, że nic nie wie i nie rozumie. Gdym zagaił sprawę, cóż? oto mi dowiódł czarno na białem, że nie on Repeszce odstąpił tych pretensyj, ale ktoś inny, któremu on, jakoby żadnej do nich nie przywiązując wagi, oddał je w małym długu przed laty...

— W istocie są dowody — ciągnął dalej Dzięgielewski — że pretensya przez trzecią osobę cedowaną była temu Repeszce. Ale te dowody wcale nie przekonywują, bo w sprawie z takiemi ludzmi, nigdy nic nie ma tej twarzy, którąby mieć powinno, zawsze się fałszu domyślać potrzeba.

— Cóż jest za cel w tem wszystkiem?— spytała kobieta — płonąc i blednięjąc.

— Czas dopiero rozświecić to może — z cicha szepnął Dzięgielewski. — Procesowaliśmy się długo, mamy za sobą powagę czasu i dekretów, mamy posiadanie rzeczywiste, stosunki, pieniądze; baćby się niczego nie należało, gdyby na świecie było co pewnego i przewidzianego. Nieszczęściem ludzie są chciwi i źli, czasy nie najlepsze, miłość sprawiedliwości wygasa, interes ją zastępuje... To pewna, że się dzielnie bronić będziemy, że ja sił wszystkich dołożę i pani możesz być pewną...

— O! ja jestem spokojną — przerwała Spytkowa. — Ale... szepnęła ciszej po chwili.. — nie dobrze by to było, gdybym ja sama spróbowała pomówić albo z Jaksą...

— Ale on od tego ręce umywa...

— No, to z Repeszką.

— Z nim nie warto — zawołał Dzięgielewski — wbiłoby go to w pychę. Ja się staram śmiać z niego i lekceważyć go, żeby sobie zbyt nie tuszył... Widząc nas spokojnemi, może zwątpi; trwoga by mu sił dodała, a gdy się zawaha, zawsze czas będzie lada czem sprawę uspokoić.

— Rób pan, jak uznasz właściwem — rzekła wdowa w ostatku. — Musimy to znosić nie mogąc od razu złamać. Mówisz wszakże, iż to się groźnem nie wydaje?

— Tak jest — odpowiedział Dzięgielewski — nie sądzę, aby to Mielsztyńcom mogło grozić, chybaby już w naszej rzeczypospolitej krzty sprawiedliwości nie było.

Tegoż dnia, z rozmowy przy obiedzie, dowiedział się o wszystkiem Eugenek. Słuchał powieści z uwagą wielką, dopytywał się o nią, a bystrym umysłem sięgnął odrazu do głębi, chociaż jej dna dojrzeć nie mógł. Nie rozumiał on dobrze rachub, czuł wszakże

rękę mściwą Jaksy, i przekonanym był, że cała robota od niego wyszła. Twarzyczka młoda rozpłomieniła mu się od gniewu, oko zaiskrzyło; ale ten podstępny sposób nękania obudził w nim razem wzgardę niewypowiedzianą.

Tymczasem proces, rozpoczęty jakoś na pozór bez wielkich wytężeń i zapobiegań ze strony Repeszki, z cicha i ostrożnie, w prędce nadzwyczaj groźne przybrał rozmiary.

Dzięgielewskiemu zdawało się z powolności ruchów nieprzyjaciela, z nieśmiałości poczynionych kroków, z braku stosunków, że sprawa pójdzie żółwim krokiem i wytartą koleją. Sądy były z nią obeznane, puszczono ją dawno z uśmiechem *per non sunt*, godziło się sądzić, że i teraz tak będzie. Ale tu mistrzem się pokazał dopiero godny pan Repeszko. Nigdzie śladów nogi jego widać nie było, nigdzie głosu nie słychać, przecież skutki potajemnej roboty mocno się uczuć dawały. Pogląd na sprawę całkowicie się zmienił; przybrała ona fizyognomią groźną, bo się przedstawiała jako dowód wiekowego ucisku i preponderancyi możnych nad biedniejszymi, zyskiwała sympatyą drobnej szlachty, urzędników, palestry. Nie szło już o Mielsztyńce, ale o zasady, a wiek był potemu, by się o nie rozpierano wszędzie, gdziekolwiek cień ich się ukazał. Nadzwyczaj zręcznie memoryałami poparta pretensya, uzyskała rozgłos, stała się przedmiotem rozmów, roznamiętniała ludzi, trzymała sędziów pod naciskiem opinii publicznej, zawsze skłonnej do popierania tego, co krzyczy i hałasuje.

Tego się najmniej spodziewał Dzięgielewski, ufny w szacunek powszechny, który otaczał dom Spytków. Przerażały go rozmiary jakie przybrał w początkach. Prawnicy, których się radził, potrząsali głowami; wszyscy dotąd utrzymywali, że sprawa przegraną być nie może; ale już przebąkiwano, że dla świętego spokoju dobrze potrzeba będzie opłacić. Dzięgielewski udał się do Repeszki, ułożywszy z nim spotkanie w domu znajomych. P. Nikodem łagodniutki, miły, pełen uczuć najszlachetniejszych, składał ręce, kłaniał się, zaklinał, uśmiechał, ściskał Dzięgielewskiego, ale w żadne układy wchodzić nie myślał... Utrzymywał, że poniósł tak znaczne koszta, nabył pretensyą tak drogo, opłacił tak sowicie, iż dziś chybaby mu całe dano Mielsztyńce, a jutro to do nich jeszcze coś dodać przyjdzie. Suma, do jakiej urosły jego rachunki, była olbrzymią do śmieszności. Nie można było mówić z tym człowiekiem.

Dzięgielewski stary, przywykły do spokoju, sumienny, po tem spotkaniu tak się zgryzł myślą, iż wszystkiemu był winien, zrazu lekceważąc nieprzyjaciela, że przyszedłszy do domu, położył się w łóżko... a w kilka dni biedaka poprowadzono na cmentarz... Miał wprawdzie lat siedemdziesiąt i siedm, te dwie siekierki straszne, co tylu ścinają ludzi, ale byłby pożył pewnie do dziewięćdziesięciu, gdyby nie sprawa nieszczęśliwa.

Zacny a pobożny Repeszko, co admirowano niezmiernie, poszedł ze świecą za jego pogrzebem i rzucił garść piasku na oczy starca, a nawet łez kilka uronił. W istocie niepospolita była to dla niego gratka; starego takiego pełnomocnika, wtajemniczonego we wszystko, nie łatwo zastąpić. W pierwszej zaraz chwili, nim się opamiętano, p. Nikodem popędził sprawę i otrzymał dekret niespodziewany, nieprzewidziany, dla siebie nader pomyślny. Wiadomo jaki w podobnych razach wpływ wywierają wyroki niższych instancyj, jak utrudniają obronę.

Strwożono się niepomału w Mielsztyńcach, i było czego zaiste. Idąc tą drogą, sprawa mogła pozbawić Spytków prawie całego ich majątku. Proces wprawdzie trwać musiał długo, ale zręczny Repeszko, nie doszedłszy końca, mógł sobie nawet posiadanie dóbr wyrobić. Człowiek ten w szarej kapocie, kłaniający się nisko, ubogi... okazał się tak dziwnie zręcznym, iż po nim wszystkiego się obawiać było można...

Był teraz w swym żywiole, lepiej nawet wyglądał. Szczerze powiedziawszy, przyczyna tego była bardzo prosta. W zwykłym trybie życia jego post i chleb suchy a licha strawa nawet w niedzielę się nie zmieniały; rozpocząwszy proces, Repeszko uznał, stosując się do miejscowych obyczajów, że ludzi potrzebnych papką najłacniej ujmować, że często inaczej nawet pozyskać ich sobie nie podobna. Potrzeba więc było wydawać obiady, wieczerze, śniadania i podwieczorki. Zmuszony do tej fatalnej ostateczności, Repeszko gospodarując, przynajmniej za swoje pieniądze objadał się za każdym razem jak mógł najobficiej... Przy własnym stole wyglądał na zgłodniałego pasożyta, chwytał półmiski, wybierał kawałki, połykał nieprawdopodobne stosy jadła. To go na cerze i na objętości nawet poprawiło. Postrzegł sam, że pas, który dawniej bardzo długie miał końce, stawał się coraz krótszym. W najgorszym razie to już było pewnym zyskiem w procesie. Ale i sam ów proces wiódł mu się nadzwyczaj szczęśliwie; p. Nikodem był kretem do tego rodzaju robót podziemnych stworzonym.

Po śmierci Dzięgielewskiego interesa objął jego młody pomocnik, człowiek do zbytku bojaźliwy i przejęty wielką odpowiedzialnością jaka spadła niego. W niepowodzeniu stracił głowę i rzucił popłoch w domu. Pani Spytkowa dowiedziała się nagle, że sprawa nadzwyczaj groźne przybiera rozmiary... Z zimną na pozór krwią przyjęła tę wiadomość, nie dając znać po sobie ile ona ją obeszła. Eugenek wypadkiem był temu przytomny, milcząc i siedząc na stronie, nie stracił jednego słowa; twarz mu pobladła, ale się nie odezwał.

Wypadało działać, nie tracąc czasu, zapobiedz dalszym krokom, użyć ludzi obeznanych z tego rodzaju sprawami, a nadewszystko wpływów wszechmogących, stosunków z osobami wyżej położonemi, od których zależało prawie wszystko. W tej epoce demoralizacyi i zepsucia, które przyszło powoli, choć głos sumienia często się odzywał, protekcye robiły cuda, bez nich nie można było stąpić kroku. Nie miał ich pan Repeszko, ale je zastępowała u niego drobnostkowa zapobiegliwość, zręczność i pieniądz, który dawać umiał. Spytkowie mieli niegdyś rozległe stosunki pokrewieństwa z pierwszemi w kraju rodzinami, znaczenie u dworu; ale długie usunięcie się ich ze sceny, zamknięcie na wsi, zerwanie dobrowolnie z ludźmi, pozbawiło ich dawnej wziętości. Potrzeba było teraz dopiero w chwili niebezpieczeństwa, odszukać pokrewieństwa, znajomości, przypominać się i oznajmić, że się jeszcze żyło.

Po wyjściu prawnika, pani Spytkowa rzuciła się na krzesło, zamyśliła smutnie i zapłakała gorżko. Z stawała jej ledwie jedna Łucya, przez którą do osób wpływ mających trafić mogła, ale i ta niewielkie miała znaczenie.

W tem wszystkiem zemsta kasztelanica, jakkolwiek ukryta, dla niej była widoczną, dotykalną. Oburzała się na to prześladowanie, którem usiłował ją złamać, a jednak mimo woli, serce jej pojmowało go, rozumiało, że reszta niedogasłej namiętności mogła tylko do tej ostateczności go skłonić. Uczucie jakiego doznawała dla dawnego, pierwszego przyjaciela młodości, składało się z tej wzgardy i miłości zarazem, które je czyniły nieznośną męczarnią. Z duszą rozdartą sprzecznemi uczuciami, niepewna co począć, płakała jak słaba kobieta. Ale wyrobiona kilkunastą lat cierpieniami energia zbudziła się wreszcie, oburzenie przemogło, myśl o przyszłych dziecka losach dodała odwagi.

(C. d. n.)

STUDYA HISTORYOZOFICZNE

TADEUSZA KORZONA.

VICO.

I.

Neapol i myśliciele neapolitańscy.

Czarowne królestwo Neapolu otrzymało od przyrody najpiękniejsze niebo, najdogodniejsze brzegi Śródziemnego morza, najżyzniejsze doliny i malownicze góry — ale na krótko chyba i to bardzo rzadko darzyło swych mieszkańców pomyślnością. Sięgając myślą chociażby początku Historyi Nowożytnej, widzimy tam teatr zawziętej walki pomiędzy Hiszpanami a Francuzami o nowo wytworzoną zasadę równowagi politycznej. Wielki wódz Ferdynanda Katolika, el gran capitano, Gonsalvo Kordubeński otrzymał Neapol i Sycylię, dziedzictwo dawniejszych królów aragońskich, dla swego monarchy. Po śmierci Katolika kraje te przeszły pod władzę wnuka jego, arcyksięcia Habsburga, znanego rozgłośnie pod imieniem Karola Vgo i stanowiły część tej niezmiernej monarchii, nad którą „słońce nigdy nie zachodziło.“ Zdawało się, że objęcie królestwa neapolitańskiego przez dziedzica tylu koron, wróży mieszkańcom czasy wolne od zaburzeń i wojen; tymczasem nadzieje nie ziściły się wcale i dziejopis królestwa, Giannone, wylicza tylko długi szereg „darów“, składanych co parę lat cesarzowi na potrzeby nieustannych wojen, jakie Karol V toczył to z Francyą, to z Turkami, to z ligami włoskiemi i papieżem. Prawda, że za każdy dar taki Karol przyrzekał coraz nowe przywileje dla szlachty, ale i one przynosiły więcej szkody niż dobrodziejstw dla kraju. Poddani jednak nie posiadali się z radości, gdy w powrocie z Tunetańskiej wyprawy cesarz raczył przybyć osobiście i spędzić kilka miesięcy w Neapolu (1535). Ani syn jego Filip II, ani późniejsi królowie: Filipowie III i IV, oraz Karol II nie wyświadczyli tego zaszczytu; ludność stolicy oglądała tylko coraz wspanialsze obrzędy pogrzebowe z nabożeństwami, które trwały po całych nocach

*

po śmierci króla i festyny przy obwoływaniu jego następcy.

Rządy kraju, naczelne dowództwo siły zbrojnej a często i marynarki, wymiar sprawiedliwości, prawo życia i śmierci a nawet prawo łaski, powierzanemi były vice królom, którzy utrzymywali dwór na podobieństwo królewskiego i załogi hiszpańskie w zamkach, górujących nad ludną, a burzliwą stolicą. Za czasów Karola V spędzali oni na urzędzie czas dłuższy, a jeden z nich Don Pedro di Toledo, w ciągu 20-letnich rządów (1532—1552) zostawił po sobie wiele gmachów i zakładów pożytecznych, wiele mądrych praw i urządzeń. Lecz Filip II postanowił, że urzędowanie ich ma trwać tylko trzy lata, to też wkrótce lud scharakteryzował ich rządy przypowieścią, że w pierwszym roku wymierzają sprawiedliwość, w drugim robią pieniądze, w trzecim skarbią przyjaciół, żeby się nadal utrzymać.

Ciężką była dola kraju pod władzą tych dumnych, sztywnych, fanatycznych a zarazem niedbałych Hiszpanów! Zawdzięczała wprawdzie arystokracya królom arragońskim większą część swoich tytułów i niezmierne dobra, ale też sama ona stała się najsroższą plagą dla innych stanów. Zuchwalstwo jej i bezkarność przechodziła wszelkie granice. W połowie XVII wieku, baron Nardo zniecierpliwiony zatargami swojemi z kapitułą, wyprawił pewnej niedzieli widowisko zgromadzonym w kościele chrześcianom: na stallach chóru leżało 24 głów uciętych kanonikom. Było zresztą rzeczą powszechnie wiadomą, że każdy złoczyńca, każdy opryszek, mógł znaleźć bezpieczeństwo i opiekę jeżeli przywdział liberyą jakiego barona.

Że handel szedł niepomyślnie skutkiem szkodliwego i źle urządzonego systematu celnego i kontrabandy, że przemysł cukrowniczy upadł skutkiem dowozów trzciny cukrowej z Ameryki, toby się jeszcze dało wybaczyć przez wzgląd na powszechny w owej epoce brak właściwych pojęć ekonomicznych. Ale dla czegoż na polach przenajżyźniejszej Kampanii błąkały się tylko trzody owiec? Dla czego niepodobna było odbyć podróży bez obawy, że się wpadnie w ręce bandytów? Zkąd się brały te bandy zbójeckie, ci rozgłośni a niezwyciężeni Mangone, „król Marcone“, „król kampanii Sciarra“ i t. p., których trzeba było ścigać całemi brygadami wojska regularnego? Dla czego się ośmielił vice-król, książę Medina, przechwalać się, że pozostawia królestwo w takim stanie, iż cztery porządne rodziny nie zdołają złożyć się na dobrą zupę? Dlaczego lud stolicy biegał za karetą wice-króla wołając „chleba!“ wydając z głodu rozpaczliwe krzyki? Dlaczego grzmiały tak często działa zamkowe po ulicach miasta? Czem urósł ów Maraniello, który w ciągu jednego tygodnia z rybaka był trybunem, dyktatorem, ofiarą morderstwa i świętym?

Bezpośrednią i najbliższą przyczyną tej ostatecznej nędzy były rujnujące podatki i zdzierstwo urzędników. Wszystkie miasta były obarczone ogromnemi długami, a kiedy pamiętny z ciemięztwa książę d'Arcos wyprawił sędziego wikaryatu na egzekucyę zaległości, ten częstokroć nie znajdował w całej gminie łóżka, żeby się samemu położyć. Nie powstrzymało go to przecież od udzielenia rady mieszkańcom: „niech sprzedają część swych żon i córek, a niech należność zapłacą.“ Naturalnie że rozleglejsze i głębsze przyczyny leżały w całym ustroju społecznym, w trującym wpływie politycznego systematu Hiszpanii, nareszcie w rozkładzie moralnym i umysłowym, w upadku politycznym całego plemienia włoskiego, które, styrawszy swe siły w intrygach i walkach drobnych państewek, stało się łupem ścierających się o równowagę lub raczej o przewagę mocarstw.

Do tej niedoli społecznej dodać należy duszącą atmosferę jaka ciężyła na umysłach skutkiem rozwielmożonej po całych Włoszech reakcyi katolickiej przeciwko Lutrowi i Kalwinowi, przeciwko wszystkim heretykom i nowatorom. W Wenecyi topiono zwolenników reformacyi niemieckiej; więzienia rzymskie były nimi przepełnione; Waldensi kalabryjscy zostali wytępieni do szczętu, we wszystkich miasteczkach płonęły stosy inkwizycyi świętej, mającej główną rezydencyą w Rzymie. Straszny ten trybunał nie zdołał wprawdzie zagnieździć się, w Neapolu, pomimo szczerych chęci i wyraźnych nakazów Karola V. i Filipa II. Rzecz dziwna: na przeszkodzie stanęły tu wstręty nieprzezwyciężone i opór zacięty całej ludności, poczynając od szlachty a kończąc na lazaronach. W 1547 r. wzmiankowany już wice-król Piotr Toledański kazał przybić na drzwiach pałacu arcy-biskupiego edykt z zapowiedzią, że trybunał inkwizycyjny wprowadzonym zostanie. Natychmiast zaczęły się gromadzić tłumy ludu; na wszystkich placach rozległy się krzyki: „do broni“, szukano wybrańca ludu, (był to reprezentant obywateli miejskich, który wespół z 6ma baronami stawał wobec Hiszpanów jako przedstawiciel interesów narodowych), żeby go śmiercią ukarać za sprzedanie się wice królowi; cztery z górą miesiące trwało wzburzenie, którego energiczny Don Pedro nie był w stanie pokonać siłą zbrojną, dopóki nie wrócili wyprawieni do cesarza posłowie z rozkazem złożenia broni. „Jakkolwiek miasto uznało warunek ten za bardzo twardy, ażeby składać broń w ręce swego nieprzyjaciela (Don Pedra), który pozostawał uzbrojonym, jednakże pragnąc dać dowód, iż w tem wszystkiem, co zaszło, nie było żadnej myśli uchybienia posłuszeństwu względem swego monarchy, uległo ono bez sporu i natychmiast wszyscy mieszkańcy udali się do śgo Wawrzyńca żeby oddać broń deputowanym.“ Wszakże Don Pedro oświadczył nazajutrz, iż z woli cesarza inkwizycya wprowadzoną nie będzie. Późniejsze próby nie powiodły się również na półwyspie tylko Sycylia doczekała w 1641 r. pierwszego auto-da-fe w Palermo. Jeżeli przecież Neapol uwolnił się od inkwizycyi, to nie znaczy bynajmniej, żeby nie pozostawał w ściślejszej niż inne kraje zależności od duchowieństwa. Od czasów normandzkich (od Roberta Gwiskarda w XI wieku) księstwo Apulii a następnie królestwo obojga Sycylii było lennością papiezką i każdy król przy wstąpieniu na tron musiał prosić w Rzymie o inwestyturę, płacić pewną daninę, dawać białego konia i t. p. To też papieże występowali tu z większemi niż gdzie indziej wymaganiami; Paweł IV chciał siłą zbrojną odebrać swą lenność Filipowi II, Pius V mianował „wizytatora apostolskiego“ z rozkazem wglądania w czynności wszystkich biskupów, zwiedzania szpitali, chociażby świeckich, wdawania się w pewne sprawy, należące do juryzdykcyi świeckiej. Nie chcieli też papieże cierpieć, aby ich bulle i rozkazy miały podlegać królewskiemu exequatur, a w ogólności wymagania ich były tak wielkie, że mężowie stanu hiszpańscy, wypróbowanej gorliwości katolickiej, a nawet słynni z fanatyzmu (jak książę Alba i sam Filip II) musieli występować do walki w obronie praw rządu świeckiego. Ciężkie to były dla nich zapasy! Spowiednik wice-króla otrzymuje od papieża instrukcye surowe, członek rady Stanu zostaje odepchnięty od konfesyonału i wstydzony publiczną naganą, sam książę d'Alcalà zwraca uwagę króla na swe 62 lat wieku i błaga o stanowczą decyzyą. Arcybiskup neapolitański poczytuje sobie za uchybienie jechać z wizytą do wice-króla, a synody w myśl uchwał soboru Trydenckiego nakazały, ażeby biskupi egzaminowali nauczycieli gramatyki, lektorów teologii, oraz profesorów wszelkich nauk duchownych i świeckich po szkołach publicznych i uniwersytetach. Bez aprobaty biskupa nie wolno było nikomu nauczać publicznie pod karą egzkomuniki.

Na czele umysłowości stał uniwersytet neapolitański. Do XVI wieku składał się on z trzech tylko katedr: prawa kanonicznego wraz z językiem greckim, prawa cywilnego i sztuk wyzwolonych (degli artisti). Profesorowie wykładali w trzech małych izdebkach obok kościoła dominikańskiego, uskarżając się na dzwony, które w wykładach przeszkadzały; wzajemnie księża wyrzekali na hałasy i niesforność żaków. Dopiero w 1616 r. jeden z wice-królów (hr. Lemos), ożywiony niezwykłem zamiłowaniem do nauk, wzniósł nowy gmach, wydał ustawę, zgromadził liczny personal z protektorem, rektorem, mistrzem ceremonii, kapitanem gwardyi i t. p. na wzór uniwersytetu w Salamance. Wszakże charakterystyka tego zakładu zawiera się w tych słowach historyka neapolitańskiego (Giannone, IV. 385) „Hiszpanie byli panami naszymi, a cała uczoność, jaka z po za gór przychodziła, wszelka nowość, jaką można było do szkół wprowadzić, zdawała się podejrzaną; ztąd wynikało, że w prawoznawstwie tak samo jak w innych naukach postępowaliśmy po tej drodze, jaką nam starożytni przepisali. Tacy, którzy się ośmielali odstąpić od niej, byli poczytywani za nowatorów, których znoszono niechętnie.“ Prawnicy układal po dawnemu Glossy na prawo rzymskie, medycy musieli składać zapewnienie, że uznają Gallena za powagę. To też o stopniu wykształcenia ogółu świadczy niezmierna moc najdziwniejszych cudów po rozmaitych kościołach: okazywanie przed ludem mleka Najświętszej Panny, zębów trzonowych św. Krzysztofa, posągów płaczących lub krew przelewających, a przedewszystkiem taki fakt, że reforma kalendarza nawet przez papieża Grzegorza XVI dokonana, wtedy dopiero przez Neapolitańczyków za dobrą uznana została, kiedy krew ś. Stefana, która zwykle wrzała w dniu 3. sierpnia zaczęła wrzeć o 10 dni później właśnie podług nowej daty gregoryańskiej *). Pożobne — ale światły dziejopis nie jest zupełnie pewnym tego faktu — takie samo zjawisko objawiło się na krwi św. Januarego, naczelnego patrona Neapolu.

Wszakże na tem tle ponurem ukazywały się meteory umysłowe zadziwiającej świetności. Zdawałoby się, że w księdze przeznaczeń ludzkości jest zapisane prawo, aby w społeczeństwach uspionych, słabych lub bezwładnych, osoby pojedyncze brały na barki całe brzemię zadań cywilizacyjnych, ażeby z potężnej swej organizacyi mózgowej tworzyły całe światy myśli.

(C. d. n)

---

*) Giannone, IV 366.

SZKICE Z DZIEJÓW FILOZOFII POPULARNEJ
(wiek XVIII.)

przez

DR. JULIANA OCHOROWICZA.

I.

Filozofia kościelna.

(Ciąg dalszy).

Autor tedy skłania się do zdania o obrotach ciał niebieskich bez pomocy zewnętrznej, ale właśnie dla tego waha się, czy ma im duszy odmówić, czy też za żywe istoty uważać. Waha się zaś dla tego tylko, że w piśmie nie ma na to wyraźnego dowodu. Już to w ogóle należy zauważyć, że nasz filozof drobiazgowo rozbierający wszelkie kwestye stawiający dowody *pro i contra*, ostatecznie przecież kończy cytatą Pisma i tę za jedyny argument uważa. Walczą w nim dwie skłonności, jedna będąca wyrazem analitycznego ducha XVIII wieku, który wszystko poddawał krytyce — druga, wprost tamtej przeciwna a wyrażająca się w ślepem poszanowaniu tradycyi. Zobaczymy to dokładnie w dalszym ciągu. Tak np. zaraz poniżej, nie mogąc dojść czy gwiazdy są żywe, zapytuje, czy przynajmniej na nich są jakie żyjące istoty?

Kwestya ta, która i dziś jest popularną, dzięki pełnym talentem rozprawom Flamariona, Figuiera, Blanquiego i wielu innych, znajduje w autorze naszym stanowczego przeciwnika. Ale zobaczmy jak się z nią załatwia: „Była jeszcze, mówi on, a co większa i do tego czasu jest u niektórych wątpliwość: czyli na Gwiazdach i Miesiącu nie masz żywiołów jakich? Fundament jest tej myśli ztąd, że Luminarze wszystkie oprócz Miesiąca, są większe *ośmnaście razy* od Ziemie mniej albo więcej, a do tego docieklі niektórzy, że w Miesiącu znajdują się góry, lasy i wody; dla kogóżby tak wielkie miejsca i wody Pan Bóg stworzył, gdyby tam nie było jakich żyjących żywiołów? Przytem stworzył Pan Bóg na ziemi żyjące rzeczy i w Niebie Aniołów, toż przyzwoita rzecz była ażeby stworzył i na Niebie czyli Luminarzach Niebieskich, żeby miał chwałę na każdem miejscu? Ale tę trudność uspokaja tekst Pisma św., który wyraża koniec (cel) stworzonych Luminarzów, *nie dla mieszkania na nich, ale żeby objaśniali świat cały*. Przytem na Firmamencie są ogniste upały, jakimżeby sposobem mogły się w ogniu chować zwierzęta?" Autor powoławszy się na tekst Pisma, chciał jeszcze poprzeć go świeckim argumentem, żeby przecież za filozofa uchodzić, ale na nieszczęście zapomniał, że przed chwilą mówił o wodach i lasach na księżycu, ograniczając tem samem zarzut na ognistości firmamentu oparty. W wiadomościach naukowych, które wyraża, znać także łataninę z różnych źródeł, gdyż podczas gdy powyżej „wszystkie Luminarze," z wyjątkiem księżyca, miały być mniej więcej ośmnaście razy większe od ziemi, na następnej zaraz stronie (16) czytamy:

„Jakaby zaś (była) wielkość i szybkość Luminarzów Niebieskich, ztąd się daje poznać, że według nauki Matematyków, słońce jest większe od ziemi *166 razy*," (właściwie znacznie więcej, bo 1,407.187 razy). „Miesiąc zaś mniejszy trzydzieści razy dziewięć" (właściwie 49); „wszystkie zaś Gwiazdy na Firmamencie są większe od ziemi, oprócz trzech: Merkuryusza, Miesiąca i Wenery" (*Mars* jest także mniejszy od ziemi). Dalej autor podaje równie bajeczne wyliczenie *drogi słońca na około ziemi*, oceniając za to właściwie *drogę mleczną*, jako wielkie gwiazd zbiorowisko. Ale dalej znowu następują różne niedorzeczności, mianowicie że „słońce stworzone zostało przez Pana Boga w połowie Nieba, w chwili porównania dnia z nocą," a nawet opierając się na powadze Palestyńskiego Concilium pod Wiktorem papieżem roku 198, twierdzi, że wówczas w raju była godzina 3 po południu, co się z Pisma św. okazuje. Po stworzeniu bowiem Słońca i onych Gwiazd, zaraz przydaje Historya Mojżeszowa i *stał się wieczór* etc., zkąd się wnosi, *że czas stworzenia świata* był na wiosnę." Jeżeliby zaś komu wydało się nieprawdopodobnem, że o tej porze w Raju dojrzewały już owoce, autor uspokaja go tą uwagą, że kiedy *u nas* jest *wiosna*, w Egipcie i w południowych krajach już jest *lato*, zatem i w Raju miało być lato wcześniejsze. „W tem tylko może być jaka trudność, czyli Frukta były na drzewach w Raju albo niedaleko koło niego, czyli też po wszystkim świecie? ale i ta wątpliwość przez to samo uspokoić się łatwo może, że na ten czas nie było ani ludzi, ani zwierząt rozporządzonych po świecie, dla kogożby ich Pan Bóg stworzył, oprócz Raju, po inszych miejscach?"

Piątego dnia, jak wiadomo, stworzył Pan Bóg między innemi Wieloryba. Otóż autora zastanawia pytanie, dla czego wieloryb jest większy od zwierząt ziemnych, i dochodzi do przekonania, iż przyczyną tego była 1) większość morza w stosunku do lądu i 2) że wieloryb jest zwierzęciem wilgotnem, a wiadomo, że i między ziemnemi zwierzętami „wilgotniejsze są roślejsze; człowiek nawet Flegmatyk, jest ogromniejszy od Melancholika, Choleryka, dla tego, że w tych jest *suchość* panująca, we Flegmatykach zaś *wilgoć*. Życie bowiem i zdrowie, *według zdania Medyków*, na tych dwu przymiotach zależy: na wrodzonem *cieple i wilgoci*, a zatem i wzrost."

Wracając znowu do stworzenia człowieka, autor przytacza zdanie św. Tomasza: „że się do uformowania Adama i Anieli przyłożyli, zbierając prochy," z których miał być pierwszy człowiek ulepiony; ale sam zdania tego nie podziela, twierdząc iż się tu obeszło bez Aniołów. Temu zaś, ktoby się dziwił dla czego Pan Bóg najprzód nie stworzył Adama, lecz dopiero na samym końcu, odpowiada iż właśnie tak być musiało, ażeby człowiek wiedział, że nie on został stworzony dla świata, lecz świat dla niego!...

Następują jeszcze ciekawsze refleksye:

„Ciekawość czwarta: Dla czego też to zaraz po stworzeniu Adama przydaje Pismo: że były dopiero wydoskonalone Nieba? Znak to jest oczywisty, iż Człowiek jest największą ozdobą Nieba; niemiłe były Niebiosa i samemu Bogu, gdyby w nich nie miał natury Ludzkiej; nie dla siebie Bóg Niebo stworzył, bo by inaczej od wieków go mieć musiał, był przed wieki sam w sobie, dla Człowieka to stworzył wszystko w czasie. Ta nie tylko refleksya podziwienia godna, że gdy Pismo mówi: *i już były wydoskonalone* Nieba i wszystek ich ornament; jeszcze na ten czas nie było stworzonej niewiasty Ewy? Jeżeli już było dosyć przybrane Niebo, *na cóż się przydała Ewa?* Właśnie żeby niewiasta nie do Nieba stworzona była? Albóż nie widział Jan św. Apos. 12. Niewiasty w Niebie? *Znak wielki pokazał się na Niebie, niewiasta odziana słońcem* etc. Prawda; ale też to osobliwsza była *raritas*, rzecz bardzo wielka: *Signum magnum!* I to nie ona Niebo, ale ją raczej ustroiły Nieba, odziana słońcem — rzetelniej jednak mówiąc, była i Ewa na ten czas ozdobą Nieba, chociaż bowiem jeszcze nie była w osobie własnej, była jednak ta kosteczka w Adamie (!!) To jednak mocno uważać potrzeba — dodaje jako sens moralny autor — że póki Niewiasta jest jedno z Mężem, póty też i ozdobą Domu i Familii, jakże to żebro odłączy się od Adama a jeszcze zasypiającego: *Immisit soporem in Adam*, a zacznie się wieszać po lada gałązkach i płotach, przylepi się do lada prostego chrustu; o zapewne mało tam będzie ozdoby!"

Rozdział drugi obejmuje jeszcze głębszą analizę, znajdujemy w nim bowiem rozbiór pytania:

„Czemu też to Pan Bóg nie stworzył człowieka z dyamentu, albo ze złota, ale z podłej gliny?"

Autor przytacza zarzut, że ponieważ człowiek jest obrazem boskim, przeto przyzwoitszą byłoby rzeczą ażeby był stworzony z jakiego drogiego materyału. „Samej nawet powadze Boskiej nie służyło gliną się przy stworzeniu bawić: dzieciom ci to tylko przyzwoita z gliny formować rzeczy." Ale przebiegłszy te wątpliwości autor wpada na myśl, która mu się widocznie podoba: „Teraz się dopiero domyślam," woła on, „Miłość to sprawiła, że Bóg zapomniawszy powagi swojej, z glinianemi bawi się dziećmi" a przytem „jeżeli teraz ten śmiertelny proszek pyszną rozdyma się ambicyą, cóż dopiero gdyby był cały złoty i jaśniejący!" „Gdyby był stworzony z dyamentu, arcy ciężko by się *zmiękczyć* mógł Człowiek i *skruszyć* za grzechy swoje; dopierożby był prawdziwie *Lapis offensionis* dla Stwórcy swego!" „Nie stworzył zaś człowieka ze złota: bo *Aurum silet* — złoto żadnego nie wydaje dźwięku: człowiek zaś jest szczególnie na chwałę Pana Boga stworzony z gliny..."

Załatwiwszy się z tem pytaniem, autor przechodzi do różnych innych ciekawości.

„Ciekawość pierwsza. Dla czego Natura i Dawca jej przydał człowiekowi dwie oczy?

Przyczyna jest dwojaka: naturalna i moralna. Naturalna jest ta, że „jako innych pięciu zmysłów Człowiek ma po *dwa muszkuły*, tak i w oczach mieć przynależało" — moralna zaś ta „ażeby się jednem okiem na ludzi, drugiem zaś na siebie patrzył. Każdy bowiem rozumny człowiek, wiele razy co w kim złego upatrzy, powinien się dobrze sam sobie przypatrzyć, a bez pochlebstwa uważyć, czyli i w nim podobny albo jeszcze gorszy nie znajduje się defekt."

Ciekawość druga stanowi podobieństwo człowieka do Boga, które autor odnosi do duszy nie zaś do ciała, opierając się nadto na zdaniu św. Ambrożego, który powiada, że jako w Bogu są trzy osoby, tak i człowiek ma trzy główne władze: Rozum, Wolę i Pamięć.

(C. d. n.)

PLOTKI I NIE-PLOTKI
WARSZAWSKIE.

III.

W zeszycie „Niwy" z dnia 1. listopada, kronikarz „Gozdawita", zastępując chwilowo urząd sprawozdawcy po znanym doktorze Heidelbergskim, inaczej lekarzu ekonomii politycznej Wł. Olędzkim, podpisującym się „Soplicą Jackiem" tak zaczyna swoją kronikę:

„Siła i zdrowie każdego społeczeństwa zależy w wysokim stopniu od spójności istniejącej

między składającemi też społeczeństwo jednostkami. Spójność owa polega na poczuciu wzajemności bytu, oświeconem świadomością wspólnych celów i dążeń. Miarą jej, pojmowanie tego co w języku potocznym zowiemy interesem ogółu. Im więcej w danem społeczeństwie spotykamy jednostek pojmujących należycie interes ogółu, tem lepiej o sile i zdrowiu takiego społeczeństwa tuszyć możemy“. Po czem następuje jeszcze jeden blady ustęp i:

„U nas nawet życie towarzyskie nader osłabło, ba, miejscami całkiem obumarło. W warszawskich resursach najsilniejszym podobno między ludźmi łącznikiem — zielony stolik. Łącznik to bardzo drewniany...

„Nie o wiele lepszy pod tym względem stan przedstawia prowincya!“

I pomimo że rząd moskiewski pozwala na pewnego rodzaju organizacye ekonomiczne i społeczne, stagnacya zupełna.

Niestety, społeczeństwo nasze dzisiejsze, co do siły organizacyi, a raczej rozkładu, śmiało porównać można z czasami Paszkiewicza. Mamy wprawdzie więcej wolności, więcej cywilizacyi, więcej książek i pism, więcej tak nazwanych towarzystw i koncertów, ale w gruncie jesteśmy jedni i ci sami, rozbici i zdezorganizowani. I inaczej być nie może...

Naród przedewszystkiem do swego rozwoju potrzebuje bytu politycznego i wolności. Obie te właściwości, a przez to posiadania wytwarzają życie, wprowadzając w ruch wszelkie szlachetne i nieszlachetne namiętności ludzkie, z których walk wyrabia się postęp, inaczej rozwój społeczeństwa. Czyli mówiąc językiem naszych młodych uczonych, będzie się wtedy rozwijać prawidłowo, statyka i dynamika społeczeństwa! (Uważacie *fizyka* zastosowana do nauk społecznych?!) My także o tem piszemy, i tem również zadajemy szyku, mając takie pojęcie w praktyce o naukach społecznych, co Jacek Soplica o piękności swych wielkich czarnych wąsów, i szlachetnym marsie swej apolinowej twarzy.

— Wprawdzie nie mamy bytu politycznego i wolności — odpowie entuzyasta warszawski, ale mamy poświęcenie i w imię poświęcenia wiele możemy i wiele robimy.

— Możemy wiele, a nic nie robimy! Poświęcenie mamy jako szyk na kapeluszach naszych lokajów, których lubimy stroić w szerokie lampasy i talerzowe guziki, lubimy sprzedawać poświęcenie za bardzo nędzne ofiary, lubimy pokostować się poświęceniem, a w gruncie rzeczy jesteśmy egoistami jak wielu, jak cały świat.

Wszyscy, zacząwszy od prasy, wmawiają jedni w drugich poświęcenie. Wszyscy się poświęcają a panuje egoizm, interes i zysk. I nie raz jeden drugiego zdziera i obdziera z poświęcenia! Wszyscy się znają, a przynajmniej jedni drugich wartość, a wszyscy zorganizowani w grupy adoracyjne wzajemnie okadzają się w grupach, a zazdroszczą sobie i kąsają się już nie ludzie, lecz grupy. Wszyscy okadzają społeczeństwo, nikt nie chce mu, nie umie, nie śmie powiedzieć prawdy, i dla tego prace publiczne u nas po prostu nie egzystują, stowarzyszenia umierają na zastój i apatyą, apatyą przerażającą! Dość, że nie umiemy nawet z tego korzystać, tego wyzyskać co nam Moskale dali. Już i ta wysokość *autonomii*?!? te nędznych kilka stowarzyszeń które nam udzielono i te nas nużą!

Nie raz musieliście słyszeć przechwałki Warszawiaków wołających:

— Gdybyśmy mieli te swobody i tę autonomią, którą wy macie Galilejczykowie! pokazalibyśmy wam co byśmy potrafili!... Już do dziś byłaby Polska od morza do morza!

I poczciwa Galicya wierzyła temu w po korze ducha i myśmy oklaskiwani i okadzani wierzyli, dopóki nam fakta nie otworzyły oczu, dopóki nasze ubogie stowarzyszenia zamiast paru tysięcy nie zgromadzają po trzydziestu na walnych zgromadzeniach, dopóki nie przekonaliśmy się że na tysiąc stowarzyszonych ośmiuset nie wnosi czyli zalega z wkładkami! Dopókiśmy się nie przekonali, że do rad gminnych i sądów gminnych poprostu zobrakło ludzi, że zabrakło tej intelligencyi do wzięcia w swe ręce spraw i sądownictwa gminnego. Dopiero niektórzy zaledwie dotąd przekonali się, że wykrzykniki o poświęceniu się naszem, o wielkości, o wytrwałości, są blagą, wywoływane tylko z próżności dla zatumanienia siebie, a olśnienia naszą wielkością nieprzyjaciół. Niektórzy z naiwnych wierzyli, że można wmówić w kogoś wielkość.

— Taki mu gadaj, gadaj ciągle, że taki naprawdę jest wielki, taki nareszcie i nim zostanie, tłumaczył mi jeden z uczuciowych Litwinów, a nawet mój po litewsku, kuzyn, czyli powietnik, mieszkający ze mną kiedyś w jednym powiecie... Uczuciowy, czyli serdeczny na zimno, a skryty Litwin, wżył się w stosunki warszawskie, ukochał je i zdawało mu się, że można wmawiając w społeczeństwo wielkość, rozum i cnoty, wytworzyć je!?! zaprawdę dzikie pojęcia.

Przekonania Litwina, dzieli i dzieliła prasa warszawska i tem wyrządza ciężką krzywdę swemu narodowi.

Wzrost naszego dziennego piśmiennictwa przypada na chwilę największego teroryzmu moskiewskiego, zaraz w początkach po przytłumieniu powstania, a utrzymania pewnej autonomii Królestwa polskiego, języka polskiego w administracyi i szkoły głównej.

Wszystko zakazano i wszystkiego się bano w najwyższym stopniu. Bano się mówić, lecz za to nie bano się pisać, gdyż nad pismem czuwała odpowiedzialna cenzura.

Gorączka patryotyzmu jeszcze nie ustała, zaczęto też z gorączką pisać o niczem, bo o czemkolwiek pisać Moskale nie dali. Był to jednak zawsze jedyny objaw życia narodowego, i dla tego słusznie nazwany został patryotyzmem. I w imię też tego patryotyzmu, każdy kto żył a stać go było, objawiał swe uczucia patryotyczne i obywatelskie, przez prenumerowanie pism wszelkiego rodzaju i gatunku. To nam tłumaczy dla czego tak wiele pism jednakich, bo strychulec cenzury był jeden dla wszystkich, utrzymywały się i dla czego czterdzieści pism bez wyraźnego programu i celu oprócz specyalnych, egzystowały i rozwijać się mogły!

Jedni przelewali za idee niepodległości krew, następcy ich rozlewali strugi atramentu, prenumerowali, czytali i szeptali sobie do ucha, piszemy i czytamy, więc jesteśmy!...

Duch cały narodu skupił się w literaturze beletrystycznej, bo na inny rodzaj nie było sił, nauki, jednem słowem, przygotowania, czyli wykształcenia. Pisma po pismach rodziły się, żyły, umierały, na ich gruzach powstawały nowe, każdy, komu się zdawało, że umie pisać, pisał, a wszyscy udawali po trosze, że czytają...

Do najświetniejszych wydawnictw w dziale beletrystyki, należał stary „Tygodnik Ilustrowany“, trochę za suchy, trochę za nudny, za to przeważnie zajęty rzeczami krajowemi, uczciwy i postępowy. Do współzawodnictwa stanęły „Kłosy“, wydawane jedynie dla spekulacyi, czyli zrobienia majątku na gorączce prenumeracyjnej, jako jedynej legalnej oznace miłości ojczyzny.

„Kłosy“ weszły od razu na drogę kosmopolityczną. Pożyczały albo lepiej kupowały klisze z Paryża i Studgardu odbijąc je w swych szpaltach. Połowa Polski wierzyła, że to są wszystko wyroby narodowego ducha, chwaliła więc i prenumerowała. Lewental w krótkim czasie dorobił się majątku, i niedawno postawił kamienicę wartości przeszło trzy kroć sto tysięcy rubli, gdy z trzema tysięcami rubli zaczął *interes*, po warszawsku, inaczej wydawnictwo. W tym to czasie niedokończony doktor krakowski, zabrawszy swe manatki, wyruszył z grodu Jagiellonów do grodu Wazów, aby ze szczodrobliwej wazy dobroczynności warszawskiej zaczerpnąć troszkę sławy i wielkości, a ile się da grosza! Przywiózł ze sobą rekomendacye od Józefa Szujskiego i innych poczynających zawód pismienniczy wielkości, a rozumie się, że dobrze został przyjęty przez Lewentala i stanął obok Lewestama, przyrzekając sobie zająć kiedyś, niedługo, miejsce po tej znakomitości.

Dopóki w Warszawie zawziętość Moskali gryzła i szarpała wszystko, kładąc niedźwiedzią łapę i na cenzurę, że nie można było wysunąć na wierzch żadnej już nietylko śmielszej, lecz oryginalniejszej myśli, Edward (jednego imienia) Lubowski był dobrym, bardzo dobrym, wybornym. Pisał gładko i wiele o niczem, a jeszcze więcej tłumaczył nic o tem nie mówiąc nikomu. Dla tych to przymiotów zdobył sobie jedną z najdonioślejszych rubryk w piśmie peryodycznem, bo kronikę tygodniową, czyli tak nazwane „Pokłosie“ w „Kłosach“. Pisał więc dużo o ogrodzie saskim, loteryach fantowych, łazienkach królewskich, troszkę o teatrze, o drożyźnie mieszkań i mięsa. Czasem powtórzył jakiś skandal miejski, a zawsze pochlebiał próżności, wygórowanej próżności naszego miasteczka. A że Lubowski łysiał jak Sokrates, i pozował, i on także niestety pozował na hrabiego Zygmunta, z powodu swoich małp, w które lubi się ubierać i z powodu, że w owych małpach lubi się podpierać à la hrabia Zygmunt.

Z początku szło wszystko dobrze, berło krytyki trzymał Lewestam. Nie było już niestety Lesznowskiego, a Kenig, ten „Kenig co za fenig sprzedał mądry łeb“, za mało pozował, a nawet negliżował się. Co do pana Lewestama, nie odmawiamy mu wykształcenia i wiadomości, lecz z największem zdumieniem zapytujemy się siebie i Warszawkę, zkąd mu urosła sława wielkości, pierwszorzędnej wielkości?! Dotąd pan Lewestam nie napisał ani jednej poważnej pracy oryginalnej. Wszystko są to mniej więcej zręczne i dowcipne kompilacye, wyciągi, zlepki. Ani jednej myśli jego własnej zacząwszy od „Historyi literatury powszechnej“, a skończywszy na Rossim w „Kłosach“ i wszystkich krytykach...

Weźmy naprzykład jakąkolwiek krytykę Kotarbińskiego, a nawet czasami, bo bardzo rzadko z lenistwa pisze, Kazia Łuniewskiego, i porównajmy je ze wszystkiemi krytykami pana Lewestama, a przekonamy się, że w pierwszych czuć oryginalność myśli i formy, które jak blaski natchnienia przyświecając, porywają, gdy u pana Lewestama słowa, ładne słowa, wyszlifowane zdania, utarte zgrabne frazesy, ale są to słowa, słowa, które ani ziębią, ani grzeją. Zresztą za-

pytujemy się pana Lewestama, lub jego wielbicieli, niech nam pokażą jeden talent dramatyczny, lub jednego artystę dramatycznego wyrobionego przez krytyki nestora krytycyzmu warszawskiego! O tej materyi pomówimy później, obecnie wracam do naszej chwały pism peryodycznych.

Z samego położenia rzeczy wywiązał się antagonizm między dwoma illustrowanemi pismami, a ztąd wytworzyły się koterye, które po cichu, lecz dość zawzięcie ze sobą walczyły.

Póki szło tylko o utrzymanie pism jako manifestacye narodowości, pismom powodziło się wybornie, płatały sobie wprawdzie sztuczki i figle, lecz wychodziło im to na dobre. „Tygodnik illustrowany“ musiał przybrać większy zakres działania, a Lewental lepiej płacić swym współpracownikom. Zaczął się cień konkurencyi wyrabiać o prace literatów. Z trzech kopiejek od wiersza poskoczyły na cztery, a nawet czasami do pięciu!

Kronikę w „Tygodniku“ prowadził Wacio Szymanowski, streszczając wiadomości podawane przez „Kurjerek Warszawski“. Lubowski zaś w „Kłosach“ streszczał *Wacia*, gdyż „Tygodnik“ wychodzi w sobotę, „Kłosy“ w czwartek.

„Mamy do zanotowania“, pisał zwykle Wacek, po czem następowało uwiadomienie o założeniu nowej cukierni, jako objawu narodowego przemysłu. A jeżeli robiono tam cukierki z czekolady, lub lepiono tabliczki, co to było hałasu i dumy z nowej fabryki czekolady?!! Lubowski zaś talent nowy i oryginalny, wyrażał się krótko: Notujemy! że — że stróże kamieniczni zgarniają śmiecie w kupki na podwórzach i zamiatają schody w kamienicach. Ten zaś fakt miał być objawem cywilizacyi, bo porządku! I Warszawka była uszczęśliwiona z nowej cukierni, fabryki czekolady i cywilizacyi. *Nasze Polki* uważały za obowiązek patryotyczny chodzić do tej cukierni na czekoladę, przez cały tydzień, dla, rozumie się, podniesienia narodowego przemysłu.

Dalej w „Tygodniku“ przychodziła jedna powieść i w „Kłosach“ jedna. W „Tygodniku“ listy z zagranicy Kraszewskiego, w „Kłosach“ listy z Niemiec Kraszewskiego, po nich jedno i drugie tłumaczenie i koniecznie co tydzień po jednym życiorysie wielkiego człowieka.

Polska przeciętnie musi dostarczać tygodniowo po dwóch wielkich ludzi, jednego dla „Tygodnika“ drugiego dla „Kłosów“. Dalej *Teatr* koniecznie a obszernie i *Muzyka* obficie!! Polityka i obrazki. (Dok. nast.)

STUDYA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO

(*Ciąg dalszy.*)

W głębi, już nie na suficie, ale na ścianie za wielkim ołtarzem odmalował jeszcze *Buonarotti* przed śmiercią, na starość, wiele lat po suficie sąd. W nim harmonii, linii nie masz wcale. Chrystus nagi, bez tradycyjnej brody, Chrystus, o którym trudno się domyśleć kim jest, siadł na niczem, dziwnie śmiało narysowany, dziwnie piękny i gniewny, i podniósł rękę potępiająco. Przy nim klękła przerażona Marya, otulona w płaszcz błękitny, zasłaniający zupełnie wszystko, prócz przerażonej twarzy. Dziwna gmatwanina ciał nagich uwisłych konwulsyjnie wśród przestrzeni zapełnia boki obrazu: to potępieni i zbawieni. U dołu piekło z mitologicznym Styksem i z łodzią Karona, z karykaturalnymi potępionymi i z czartami podobnymi do owej nowo odkrytej kolosalnej małpy — do Gorilla. Nie znać już na tym wszystkim Michała Anioła, a raczej przypominają się już jego uczniowie, o których wnet będzie mowa.

Raz jeszcze przed śmiercią uprzytomnił Buonarotti całą filozofię i całą myśl artystyczną Toskany, w sposób dla niej najbardziej odpowiedni, bo za pomocą rzeźby, i bez symbolu teologicznego, zakrywającego niektóre części Sykstyny mniej wyraźną pleśnią. Mam na myśli kaplicę Medyceuszów, czyli tak zwaną zakrystyą świętego Wawrzyńca we Florencyi. Jest to kaplica okrągła, oświecona przez okna nie wielkie pod kopułą. Z jednej i drugiej strony widać na wywyższeniu kształtne marmurowe trumny, a na nich zasiedli naprzeciwko siebie dwaj młodzi Medyceusze zmarli. Julian nagi prawie, ma na sobie tylko zbrojną spodnicę starożytnych wodzów. Ręce założył na pierś, a głowę piękną w bok zwrócił. Żyły na nim suche, nos orli, włosy krótkie i kędzierzawe a usta zacięte, a czoło z lekka zmarszczone. Postać to szlachetna ale nie dosięgająca ideału i ludzka przeto. Pewien niespokój drga na twarzy, a że ma w prawicy buławę wodza, domyślisz się, że waży losy wojen, że pała żądzą zdobyczy; a po wyrazie widzisz, że z tem wszystkiem nie jest szczęśliwy.

Brat jego Wawrzyniec więcej z włoska przyodziany, i z czapeczką na głowie, nogi założył; łokieć o kolano, a twarz o łokieć sparł. I to piękny człowiek, co utonął w myśli. Po ponurych rysach widać, że duma nad smętkiem ziemi, i nad świata boleściami. Chciałby tajemnice świata zbadać, radby może i zrzucić ciężar dni doczesnych, ale jak Hamlet nie wie, co go czeka za grobem.

Twarzami i stopami do siebie zwrócone legły ranek i wieczór u stóp Wawrzyńca. Ranek to mąż, wieczór zgodnie z duchem włoskiego języka to niewiasta. To jeniusze elementarne, nieskrzydlate, pokrewne z innemi kreacyami mistrza. Choć większe od natury nie przechodzą zwykłego posągów rozmiaru, ale, rzecz dziwna, zdają się oddalonemi od nas. Nie są tak namacalne jak greckie posągi, i arcysztuką dłuta w mgłę niby przyodziane, z gruba niby tylko wykonane, choć całkiem żywe, legły gdzieś w niedostępnej odległości, osłonione mrokami zmierzchu, niedostępne dla wyobraźni, olbrzymie może. Obie postacie nagie i zupełnie idealne. Poranek brodaty, wsparty o ramię, budzi się i patrzy w koło. Godzina wieczorna, „*la sera*“ sparła się o łokcie padając w tył. Usta na pół otwarte, boleśnie, czoło zmarszczone i brwi ściągnięte. Chyli się w jakąś otchłań ujęta niepokojem, podczas gdy ranek do nieznanej jeszcze walki się zrywa.

Noc i dzień, to te same postacie, dojrzalsze wiekiem, co podobnie u stóp Juliana legły. W dniu zapanowała niewidziana zuchwałość dłuta. Muszkuły Herkulesowe kute tak, że wielkie, białe pierścienie występują pełnem światłem. Gigant, co także niby w dali w blasku widziany, wsparł się o ramię, a drugiem ramieniem zakrył twarz. Czoło ogromne i świetlane, brwi zmarszczone i ogniste z pod nich wychodzi wejrzenie. To tylko widzisz z bliska z twarzy, a gdy odstąpisz, wychodzi z po za ramienia niewykończona reszta, jakby jednostajna masa światła. Tu promienie twarz zupełnie zakryły. To nie człowiek, to duch blasku i żaru, jak ogień niespokojny i mocny. Cudem zdołał Michał Anioł na kamieniu wywołać efekta oświecenia i powietrznej perspektywy.

Noc ciemną wykonał starannie i drobnostkowo. Niewiasta boska, o zwisłej piersi, usnęła. Za plecami jej sowa. Postawa jej gwałtowna, gdyż śpiąc i leżąc na wznak, łokieć o kolano, a twarz o łokieć oparła. Sen jej niespokojny i pełen mar, i strach skamieniały siadł na pięknym czole po nad zmrożonemi powiekami. Tyle drobnych muszkułków tu wyrzeźbiono na ciele, że nigdzie światło nie znalazło dla siebie pola. Ledwo gdzieniegdzie drobny promyk mknie wśród cieniu. Oto noc!

A więc za światem zamieszkały możne i piękne jeniusze, wśród cieniów nocy, wśród blasków dnia i mgieł zmierzchu. Choć nad wyraz piękne, trwają w niepokoju podobnie jak ludzie. Czem większe tem bardziej stroskane troską wieków. Na twarzach ich smętek wiekuisty i nieskończony. I im ciężko a śmierci dla nich nie masz.

Na trzeciej ścianie, naprzeciw ołtarza, jaśnieje madonna pogodą. Ogromne dziecko przylgnęło jej do łona, a ona w miłości spokojną głowę nad dzieckiem owym pochyliła. Marmur twarzy cały przeniknony ciepłem i spokojnem światłem. Twarz boska i wielkie ciało, i fałdy światła pełne, i tu niby jakąś mgłą w dal usunięte, a i włosy szatą zakryte. Wielki Chrystus nagi; wielki choć dzieckiem na rękach, przez krystaliczne muszkuły pełne uczucia. Bo Michał Anioł tak znał ciało ludzkie, że nie potrzebywał twarzy, by postaci nadać wyraz ogromnej, duchowej miłości. Zda się, że to dziecko nieskończone. Ono się dźwiga ku matce, a twarzy jego nie widać. Marya, to rodzica gromowładnego stwórcy, i nieskończona, tuli go do łona swego jako opiekunka. W niej cisza bez końca, miłość, wszechmoc i wieczne szczęście, którego darmo szukali ludzie goniąc za władzą i mądrością, którego nie mają możne za światem duchy — a które można tylko znaleść w miłości nieskończonej Boga, i w Jego cudownej łasce. A w tym zamknięta myśl Buonarottego.

Michał Anioł pozostawił jeszcze mnogo innych rzeźb; w niektórych przedstawiał postacie smętne, albo zatopione w myśli, a zaniedbaniem szczegółów usunięte gdzieś w głąb i w dal. Raz, w Bachusie w *Uffizii*, był po prostu realistą jak niegdyś *Donatello*, a najczęściej tworzył małe posążki zupełnie podług tradycyi starohelleńskiej. Prócz tego zostawił po sobie pewną ilość obrazów olejnych, czasem bardzo pobieżnie traktowanych. Omijając parki w Palazzo Pitti, przejdziemy do utworów dostępniejszych dla polskiej publiczności, bo do arcydzieł zawieszonych w drezdeńskiej galeryi. Jedno z nich nie z całą pełnością wyszło z pod pęzla Buonarottego, ale jeśli jest kopią, jest kopią wielce doskonałą. Przedstawia ono Ledę z łabędziem. Naga kobieta o kruczych kędziorach, cudnie piękna, występuje dziwnie plastycznie z płótna, choć namalowana wielkiemi rysami toskańskiego pęzla; tło za nią ciemne, a sama przypomina wielce posąg nocy w zakrystyi św. Wawrzyńca. Całusem pożera łabędzia, przezeń nawzajem całowana, a taka namiętność miłosna ją pali, że jej nawet kolosalne i boskie ciało, tą namiętnością na wskróś wstrząśnione.

Drugie, i przedmiotem i wykonaniem wyższe arcydzieło, nosi podpis Sebastiana *del Piombo*. *Sebastian del Piombo* był to Wenecyanin, którego Michał Anioł ukochał, a że wielki mistrz był namiętny w przyjaźni podobnie jak we wszystkiem, więc zachciało mu się Sebastiana do najwyższej sławy wynieść. Pożyczał mu tedy swoje pomysły, czuwał nad ich wykonaniem, dawał im ostatnie wykończenie, i pozwalał uczniowi swój podpis kłaść na dziełach mistrza. Tu w Dreźnie mamy powstałe w ten sposób: „Dźwiganie krzyża“. Obraz to naturalnej wielkości, postacie tylko po pas widziane, a technika dziwnie plastyczna choć bezbarwna prawie, czyni rzecz obecną i namacalną. Chrystus bardzo piękny, o dość ciemnej cerze, czarnem oku i czarnych włosach, przyobleczony w białą koszulę o szerokich rękawach, dźwiga na atletycznych barkach krzyż tak ciężki, że ugina się pod nim. Ów ciężar wywołał boleść na twarz boską. Brwi skurczyły się pod koroną cierniową, usta wydają jęk z siebie, a cała szyja gwałtownie wytężona. Dwu silnych żołnierzy, o zwyczajnych ludzkich twarzach, stoi tuż przy Chrystusie, i patrzy się nań, a w głębi widać mury Jerozolimy, obojętne tłumy ciągnące gościńcem, i wojsko jakieś z chorągwiami wyjeżdżające z bramy, na co wszystko pada światło czerwonej łuny na widnokręgu. Jest tu boleść straszliwa boskiego atlety, z którą natura współczuwa.

Te dwa obrazy uczą nas, że Michał Anioł w obrazach olejnych gonił za plastyką, choć gardził prawie barwą, a nie filozoficzne myśli malował, jedno potężne namiętności wstrząsające ciałem potężnych idealnych brunetów — albo czasem, choć nie tu w Dreźnie — widm straszliwych.

Wpływ Michała Anioła nadał sztuce toskańskiej ostatni kierunek. Każdy chciał go naśladować, a że nikt już w sobie tych myśli i uczuć owych nie miał, naśladowano jego manierę. *Sebastian del Piombo* po śmierci nauczyciela malował dalej ogromne matematycznie udrapowane i matematycznie ustawione bezbarwne postacie. Takiemi są Marya i Elżbieta w Luwrze, o pobieżnie rysowanych twarzach, kolosalnych członkach i szatach przeniknionych jaskrawem światłem. Idealne wprawdzie ale zupełnie nie namacalne, i pozbawione wszelkiego uczucia, przypominają dzieła fra Bartolomea, od których mniej wykończone. *Cavalere d' Arpino* podobnie w Rzymie malował u Piotra sążnistych, bezmyślnych proroków, a *Pietro da Cartona* sworzył mnóstwo obrazów olejnych, w których pełno na gich pięknych ciał w różnych dziwnych i zuchwałych pozach. Nogi i ręce tu tak powikłane, że nie umiesz sobie zdać sprawy z tego co się dzieje. A o myśli i uczuciu ani nie pomyślał malarz. *Kasari* wreszcie, który z resztą i umbrejskim ulegał wpływom, zamalował wnętrze kopuły katedry florentyńskiej, tak, że w owym malowidle nic nie rozróżnisz.

Podobnemu kierunkowi uległo i rzeźbiarstwo. *Baccio Bandinelli* postawił Herkulesa i Hakusa, obok Dawida, przed *Palazzo Vecchio*. Chciał przewyższyć zuchwałość Buonarottego. Stworzył tedy stwór jakiś kolosalny, o muszkułach i rysach tak dowolnych, że ledwie człowieka w nim poznasz, trzymający za czuprynę drugi stwór podobny, klęczący u stóp jego. Mniej zuchwale wyrzeźbił w kościele *Santa Croce* Madonnę, pięknie udrapowaną, z kolosalnem, pięknem i ciężkiem ciałem Chrystusa, w której to grupie są tylko formy a uczucia nie masz. *Gian Bologna* szedł czasem wprost za wzorami greckiemi, i pod ich wpływem wyrzeźbił Neptuna nad studnią w Bononii, pięknego Boga greckiego, kroczącego wprost przed się, pełnego życia i szczęścia. Podobnież wielkiego księcia Toskany, Kozyma drugiego, wyobraził na koniu przed *Palazzo Vecchio*, trzymając się żywcem rzymskiej tradycyi. Gdy tak czynił był to rzeźbiarz wielkiej zasługi choć raczej Umbrejczyk niźli Florentczyk. Wnet jednak dał się porwać prądowi, co we Florencyi w drugiej połowie szesnastego wieku zapanował, i wyrzeźbił w *Loggia dei Lanzi* dwie kolosalne grupy: Tersеusza w walce z Centaurem, i porwanie Sabinek. Są to zuchwale rzeźbione gmatwaniny muszkułów i członków, w których widać po dokładnem przejrzeniu wielką znajomość anatomii, ale w których nie masz ani linii pięknych, ani myśli żadnej. Kierunek ten zrodzony ze źle zrozumianego naśladownictwa został wkrótce przez współczesnych potępiony, i zanim wiek do czwartej dobiegł ćwierci, już *Ammanati* w sa mejże Florencyi hołdował umbrejskiemu rzeźbiarstwu, i z tem zgasła samoistna szkoła toskańska. (C. d. n).

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODNICZYCH.

Pioruny i konduktory.

Już w połowie 17go stulecia zaczęto sobie tłumaczyć błyskawice za pomocą elektrycznego działania, wtedy przypuszczano, że iskra elektryczna i błyskawica jest jednem i tem samem zjawiskiem. Zaobserwowano już wtedy, że piorun ma zdolność zapalania przedmiotów, roztapiania i zamieniania w parę metali, magnesowania i odmagnesowywania stali itp. Benjamin Franklin wywołał wszystkie te zjawiska za pomocą iskry elektrycznej, a w r. 1752 wzniósł się pod niebiosa jego sławny latawiec w Filadelfii i sprowadził elektryczność z chmur na ziemię. Stwierdziwszy w ten sposób identyczność błyskawic i grzmotów ze światłem i hałasem powstającym przy wyładowaniu lejdejskiej butelki, Franklin zaczął myśleć o zużytkowaniu tego odkrycia i w r. 1760 wystawionym został pierwszy konduktor, ochraniający od uderzenia piorunów.

Wiadomo powszechnie, że warunki, w których powstają pioruny, odpowiadają zupełnie warunkom towarzyszącym wyładowaniu lejdejskiej butelki. Jeżeli dwa ciała, zachowujące się jako dobre przewodniki elektryczności, rozdzielone są jedno od drugiego powietrzem albo innym złym przewodnikiem i jedno z tych ciał zostanie naładowane elektrycznością, to drugie ciało nabierze także własności elektrycznych przez indukcyę; będzie ono także naładowane elektrycznością, tylko mającą inne własności. Jedna będzie ujemna a druga dodatnia. Te dwie przeciwne elektryczności będą się przyciągały wzajemnie, i jeżeli się zbliżą dostatecznie, to nastąpi wyładowanie i iskra przerwie dzielącą warstwę powietrza. Jeżeli zaś na jednem z ciał będzie jakaś część wystająca, jakaś wyniosłość, to w tem miejscu elektryczność nagromadzi się w szczególnie wielkiej ilości i z tego właśnie miejsca wyskoczy iskra elektryczna. Jest to właśnie zasada butelki lejdejskiej i zjawiska, które błyskawicą nazywamy.

Według Sira Williama Thomsona, największej powagi w dziedzinie elektryczności atmosferycznej, ziemia i wyższe warstwy atmosfery są owemi dwoma ciałami naelektryzowanemi różną elektrycznością. Ziemia ma elektryczność ujemną a chmury dodatnią. Niższe warstwy atmosfery działają jako zły przewodnik. Chmury przechodzące przez atmosferę zbierają na swej powierzchni wielkie ilości elektryczności. Gdy się zbliżają do ziemi lub poruszają w kierunku poziomym, to wywołują przez indukcyę na jej powierzchni wielkie ładunki w odpowiednich miejscach. Jeżeli chmury mają wystające drogi, albo jeżeli na powierzchni ziemi znajdują się ostro zakończone wypukłości, jak np. drzewa, to w tych miejscach elektryczność nagromadza się w szczególnie wielkiej ilości. Przyciąganie pomiędzy chmurą a ziemią jest w takich miejscach bardzo silne i ruchoma chmura stara się zniżyć ku tym miejscom wystającym. Co chwilę wzrasta przyciąganie pomiędzy obu elektrycznościami, i nareszcie opór dzielącego powietrza zostaje przezwyciężony i następuje wyładowanie. Widzimy wtedy iskrę przebiegającą po linii, wzdłuż której najmniej spotyka oporu. W ten sposób przywraca się równowaga elektryczna. Gdyby nie było miejsca wystającego, to prawdopodobnie nie nastąpiłoby to wyładowanie, gdyż nie byłoby tak wielkiego nagromadzenia elektryczności w jednem miejscu. A więc okręt płynący po morzu, dom stojący na pagórku, drzewo wyższe od innych, jeździec wśród pustego pola są owemi ogniwami, które łatwo sprowadzić mogą złączenie się elektryczności ziemskiej z tą, która się w chmurach znajduje. Jeżeli zaś to miejsce jest mocno wystające i ostro zakończone, to z wielką łatwością oddaje ono swój ładunek powietrzu. Staje się w ten sposób klapą bezpieczeństwa dla ładunku wywołanego na powierzchni ziemi przez indukcyę. Zamiast gwałtownego, raptownego wybuchu przywracającego równowagę, mamy wtedy przed sobą powolne łączenie się obu przeciwnych elektryczności i w ten sposób chmury niosące pioruny zostają pozbawione swego elektrycznego ładunku. Działanie to ostrego końca możemy zobaczyć na doświadczeniu. Jeżeli do naładowanego konduktora machiny elektrycznej zbliżymy jakiś pręcik ostro zakończony to powoli, w cichości i niewidocznie nastąpi zupełna elektryczna równowaga. Jeżelibyśmy zaś do tego samego konduktora zbliżali nasz zgięty palec, to trzeba byłoby przybliżyć się daleko więcej i nareszcie nastąpiło gwałtowne wyładowanie i między obu ciałami przebiegłaby iskra.

Powyższe uwagi objaśniają nam działanie konduktorów, ochraniających od pioruna pewne miejsca wystające po nad powierzchnię ziemi. Ażeby konduktory spełniły swoją funkcyę, powinny odpowiadać dwom następującym warunkom: I° Powinny one stawiać mniej oporu iskrze elektrycznej aniżeli budynki, które ochraniają i po wtóre muszą być ostro zakończone, ażeby naładowanie elektryczne rozchodziło z nich z łatwością w powietrze. Oba te warunki mają na celu powolne wyładowanie elektryczności, a jeżeli już raptowna nastąpić musi, to celem ich przeprowadzenia go do ziemi bez szkody budynku. Przypuśćmy, że piorun uderza w dom nie zabezpieczony za pomocą konduktora. Cegła, kamień i drzewo, które wchodzą w skład ścian budynku, są lepszymi przewodnikami aniżeli powietrze znajdujące się w pokojach. Więc wskutek tego iskra będzie się starała przebiegać po tych ścianach. Otóż konduktor nie odwraca, jak to dość powszechnie mniemają, uderzenie piorunu,

lecz tylko wskazuje drogę, po której ma przebiedz. Iskra wybiera sobie drogę, po której najłatwiej dojść może do ziemi i dla tego też zwykle piorun uderza w części metaliczne budynku, w rury gazowe lub wodociągowe. Nawet izolowane części metaliczne, jak np. klamki u drzwi, a nawet zegarki kieszonkowe wpływały nieraz na zmianę biegu iskry. Ztąd powstało mniemanie u ludu, że metale przyciągają pioruny.

Łatwo zrozumieć, że metaliczny konduktor przebiegający od dachu do ziemi i dobrze się z tą ziemią stykający, będzie wybrany przez iskrę elektryczną, której łatwiej się dostać tą drogą niż przez znacznie gorsze przewodniki, przez mury. Lecz jeżeli konduktor będzie za cienki do przyjęcia w siebie całego ładunku elektryczności, to wtedy część jego będzie musiała rozejść się po ścianach, i jakkolwiek dobrze sporządzonym może być konduktor, to zawsze jednak jest obawa tak zwanej „iskry ubocznej“ która może przebiedz po znajdujących się w bliskości głównego konduktora dobrych przewodnikach elektryczności. Lecz uniknąć takich iskier ubocznych bardzo trudno, gdyż nie można obliczyć jak wielką musi być grubość konduktora, żeby zdołała przeprowadzić do ziemi cały ładunek elektryczności. Dobrze więc jest ustawiać konduktor jak można najdalej od takich dobrych przewodników i zrobić go o ile to jest możliwem jak najgrubszym.

To cośmy mówili o piorunie, który z chmur do ziemi przebiega, można prawie dosłownie powtórzyć o piorunie mającym bieg odwrotny, który od ziemi ku chmurom przebiega. Chmura naładowana silnie elektrycznością, wywołuje na powierzchni ziemi przez indukcyę elektryczność, która się w wielkiej ilości tam nagromadza, szczególniej w punktach wystających po nad powierzchnię. Lecz wyładowanie ma zwykle miejsce z jednego punktu.

Budynki wystające wysoko po nad powierzchnię ziemi, a szczególniej te ich części, jak np. kominy, które są najwyższemi, są najczęściej narażone na uderzenie pioruna, z powodu że są zwykle dość dobrymi przewodnikami. Szczególniej podlegają temu wysokie wieże kościelne blachą obite i zakończone krzyżem metalowym, domy stojące na wzgórzach, fabryki, w których jest wiele materyału żelaznego, okręty na morzu itp. Zanim zostały wprowadzone w powszechne użycie tak zwane „protektory“ Sira Williama Snow Harrisa, straty w okrętach wskutek uderzenia piorunem wynosiły rocznie około dziesięciu tysięcy funtów szterlingów. Teraz o wypadkach tego rodzaju nic nie słychać. Według wspomnianej metody, okręta są ochraniane konduktorami miedzianemi przymocowanemi do wszystkich masztów i przechodzącemi potem przez pokład okrętu i jego boki do wody. Wszystkie główne masy metaliczne w okręcie są połączone z temi konduktorami.

Przypatrzmy się teraz jakim praktycznym wymaganiom odpowiadać powinien konduktor. Pręt przeprowadzający elektryczność do ziemi, powinien mieć wystarczające rozmiary, aby cały ładunek elektryczności mógł przezeń przejść swobodnie.

Jeszcze dotąd nie jest rzeczą dokładnie rozstrzygniętą, jaką rolę gra powierzchnia konduktora przy przeprowadzeniu iskry elektrycznej do ziemi. Jedni utrzymują, że główna część elektryczności przechodzi przez samą masę pręta metalicznego, inni zaś, że głównie po powierzchni. Doświadczenie, które robił hr. de Moncel z polecenia francuskiej administracyi telegrafów, przemawia za tem, że powierzchnia gra bardzo wielką i ważną rolę. Prawdą jest jednak, że w każdym wypadku i powierzchnia i sama masa konduktora spełniają swoję funkcyę. Administracya francuska jest za mniejszą ilością metalu, który natomiast ma mieć formę pasków. Daje ona także przewagę konduktorom żelaznym pokrytym sposobem galwanicznym miedzią, przed konduktorami całkowicie z miedzi zrobionymi. Żelazne konduktory są tańsze od miedzianych, lepiej się opierają wszelkiego rodzaju nadwerężeniom, nie są tak ponętne dla złodziei i nie topią się tak łatwo. Na ich zaś niekorzyść przemawia to, że są gorszymi przewodnikami i łatwiej się utleniają, tj. rdzewieją.

W r. 1823 oznaczyła komisya w Paryżu przecięcie konduktora na $\frac{6}{25}$ cala, jeżeli jest z miedzi $\frac{3}{5}$ jeżeli jest z żelaza. W Ameryce i w Anglii używają prętu półcalowego do konduktorów. Dawniejsze łańcuchy i konduktory złożone z pojedyńczych części, połączonych zawiasami zostały zupełnie zarzucone; wymaga się albowiem obecnie, żeby konduktor przedstawiał jedną ciągłę masę. Jeżeli konduktor nie może być dobrze odosobniony od rur gazowych lub wodociągowych, to lepiej jest połączyć go ściśle z temi rurami, lub w ogóle z większemi masami metalicznemi w skład budynku wchodzącemi.

Spierano się dawniej o to czy zakończenie górne konduktora ma być ostrem, czy też może być tępem. Otóż rozstrzygnięto ten spór na korzyść zakończenia ostrego. Myślano bowiem dawniej, że zakończenie konduktora ma być punktem tylko wobec całej powierzchni chmury, a obecnie przekonano się, że ostro zakończone oddają większe usługi. Ażeby jednak ten ostry koniec nie uległ prędkiemu utlenieniu się, lub zardzewieniu, robią go z platyny. Konduktory wystają zwykle o parę stóp wyżej po nad kominy budynków.

Bardzo ważną jest rzeczą połączenie dolnego końca z ziemią, gdyż jeżeli ono nie jest dokładnem, to konduktor jest raczej szkodliwem dla budynku niż ochraniającem. — Doświadczenia wykazały, że połączenie to uskutecznia się najlepiej za pomocą wielkich płyt metalowych przymocowanych do dolnego końca i zapuszczonych tak głęboko w ziemię, żeby się zawsze w wilgoci znajdowały.

Promień powierzchni, którą konduktor osłania swoim wpływem, jest według poszukiwań francuskich dwa razy większym niż jego wysokość. W praktyce, przy zakładaniu konduktorów przyjmuje się jednak, że ten promień równa się wysokości.

Obok dokładnej konstrukcyi konduktora, jest rzeczą niezmiernej wagi dokładne jego obserwowanie. Trzeba uważać żeby końce były zawsze czyste i ostre, i żeby połączenie z ziemią było jak najdokładniejsze. Ponieważ przez konduktor przebiegają często prądy elektryczne, więc części konduktora znajdujące się w ziemi łatwo ulegają zmianom elektrolitycznym.

Takie są w ogólnym zarysie zasady, których się trzymać należy przy zakładaniu konduktorów.

WILIA.

Skrzypi ziemia zaskrzepła,
Śnieg ją w koło ubiela..
Zkądże tyle dziś ciepła,
Tyle w sercach wesela.
Płoną okna jarzące,
Święte pieśni z ust płyną..
Stół — promienny jak słońce,
Aż się prosi z gościną.

Stoi drzewko zielone,
Strojne w barwy tęczowe;
Przy niem nieme, zdziwione,
Główki złote i płowe...
Radość z oczek im świeci,
Z jagód krasnych i żywych..
Ach! to święto jest dzieci,
Serc niewinnych, szczęśliwych!

Któż z nas chociaż raz w życiu,
Druhy owych lat mili,
Przy gorętszem serc biciu,
Nie kosztował tej chwili...
Któż — ocknięty tem hasłem,
Co dni młode ozłaca,
I dziś jeszcze się zgasłem,
Do nich okiem nie zwraca?

Któż w zaklęty ten światek,
Choć raz nie zbiegł jedyny,
Gdy nam biały opłatek,
Świecił w dłoni matczynej...
Któż się zaprzeć ośmieli
Upragnionych tych gości:
Serca matki co dzieli,
Wszystkich łzami miłości!

O! płoń drzewko jarzące!
Świeć dniu pełny uroku!
Ja. ostatnie gorące,
Święcę tobie łzy w oku!
Wszystkim marom prześnionym,
Co daremnie mnie cucą,
Dniom młodości minionym,
Co już nigdy nie wrócą!

1877. *Władysław Bełza.*

HEKTOR SERVADAC.

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XIII.

W którym jest mowa o brygadyerze Murphy, o majorze Oliphant, o kapralu Pim i o kuli, która zginęła po za horyzontem,

— Wezmę pańskiego laufra, jeżeli pan raczysz przyzwolić na to, — rzekł brygadyer Murphy, — po dwóch dniach wahania w końcu zdecydowany na to posunięcie, głęboko obmyślane.

— Przyzwalam, ponieważ nie mogę przeszkodzić temu, — odrzekł major Oliphant, zatopiony w rozpatrywanie szachownicy.

Działo się to rano 17 lutego, — według dawnego kalendarza — i cały dzień upłynął nim major Oliphant odpowiedział na posunięcie brygadyera Murphy.

Nadmienić należy, że ta partya szachów zaczęta była od czterech miesięcy i dwaj przeciwnicy zrobili dotąd wszystkiego dwadzieścia posunięć. Oba zresztą byli ze szkoły sławnego Filidora, utrzymującego że nikt nie jest silny w tej grze

kto nie umie grać pionami, które nazywa „duszą szachów.“ To też dotąd żaden pion nie był w tej grze lekkomyślnie zaryzykowany.

Bo brygadier Henage Finch Murphy i major sir John Temple Oliphant nigdy nic nie ryzykowali i we wszystkich wypadkach rządzili się dojrzałem zastanowieniem.

Brygadyer Murphy i major Oliphant byli to dwaj szanowni oficerowie armii angielskiej, losem złączeni na odległej stacyi i rozweselający sobie wolne chwile grą w szachy. Oba czterdziestoletni, oba słusznego wzrostu, oba włosów rudych, o twarzach ozdobionych najpiękniejszemi faworytami, które końcami swemi łączyły się z wąsami, zawsze w mundurze, zawsze flegmatyczni, dumni z tego, że są Anglikami i przez wrodzoną dumę, nieprzyjaciele wszystkiego co nie angielskie, chętnie przypuszczali, że Anglo-Saksonowie ulepieni są ze szczególnej gliny, dotąd wymykającej się wszelkiej analizie chemicznej. Być może, iż były to dwa strachopudy, ale z rodzaju tych, których obawia się ptactwo i które doskonale ochraniają pole powierzone ich pieczy. Tacy Anglicy czują się zawsze u siebie, nawet gdy los rzuci ich o kilka tysięcy mil od rodzinnego kraju; są bardzo zdolni do kolonizacyi i kolonizowaliby księżyc, gdyby tylko zdołali zatknąć na nim sztandar brytański.

Kataklizm, który tak głęboko zmodyfikował część kuli ziemskiej, spełnił się, niewywoławszy szczególnego zdziwienia ani w majorze Oliphancie, ani w brygadyerze Murphym, dwóch typach prawdziwie wyjątkowych. Nagle znaleźli się oni osamotnionymi z jedynastu ludźmi swego posterunku, który zajmowali podczas katastrofy; a z ogromnej skały, na której wraz z nimi dniem przedtem, mieściło się wielu oficerów i żołnierzy, pozostała tylko mała wysepka, otoczona niezmiernem morzem.

— A! (na tym wykrzykniku poprzestał major), to można nazwać wypadkiem wyjątkowym!

— W samej rzeczy wyjątkowym! — odrzekł brygadyer.

— Ale Anglia czuwa!

— Zawsze.

— I okręta jej przybędą by nas zabrać.

— Przybędą.

— Więc wróćmy na posterunek.

— Wróćmy.

Zresztą dwaj oficerowie i ich jedenastu ludzi mieliby niejaką trudność w opuszczeniu swego stanowiska, gdyby nawet chcieli; posiadali bowiem tylko prostą łódkę. Z kontynentalnych, jakimi byli dniem przedtem, stawszy się wyspiarzami, wraz z dziesięciu żołnierzami i służącym Kirke, najcierpliwiej czekali chwili, w której jakikolwiek okręt przypłynie z wiadomościami z ojczyzny.

A przytem żywność mieli zapewnioną. W podziemiach wysepki było czem przekarmić trzynaście żołądków — choćby nawet angielskich — najmniej przez dziesięć lat. A kiedy jest pekefleisz, *ale* i *brandy* — to *all right!* jak oni mówią.

Co do fenomenów fizycznych, jakie nastąpiły, np. zmiana punktów kardynalnych wschodu i zachodu, zmniejszenie wytężenia ciężkości na powierzchni kuli ziemskiej, skrócenie się dnia i nocy, odchylenie się osi obrotowej, zakreślenie nowej orbity w świecie słonecznym, to ani dwaj oficerowie, ani ich ludzie, raz skonstatowawszy te fakta, nie turbowali się o te rzeczy więcej. Brygadyer i major nanowo poustawiali na szachownicy powywracane wskutek wstrząśnienia figury i piony i flegmatycznie powrócili do swej nieskończonej partyi. Być może, iż figury i piony, teraz lżejsze, nie tak dobrze trzymały się na powierzchni szachownicy — a zwłaszcza króle i królowe, ktorych wielkość narażała na częsty upadek; ale przy pewnej ostrożności Oliphant i Murphy, trzymali w porządku swą armię ze słoniowej kości.

Powiedzieliśmy już, iż żołnierze uwięzieni na wysepce nie zajmowali się fenomenami kosmicznemi. Ażeby wyznać całą prawdę należy jednak dodać, że jeden z tych fenomenów wywołał dwie reklamacye z ich strony.

We trzy dni po katastrofie kapral Pim, robiąc się tłumaczem swych ludzi, zażądał posłuchania u oficerów.

Po otrzymaniu przyzwolenia na to, Pim, z dziewięcią żołnierzami wszedł do pokoju brygadyera Murphy. Tam, z ręką przy czapce, osadzonej na prawem uchu i podtrzymywanej rzemieniem pod brodą, zaciśnięty w czerwonej kurtce, w obwisłych zielonawych spodniach, kapral czekał na odezwanie się oficerów.

Ci przerwali swą partyę szachów.

— Czego żąda kapral Pim? — zapytał brygadyer Murphy, z godnością podnosząc głowę.

— Zrobić uwagę panu brygadyerowi względem płacy ludzi, — odrzekł kapral Pim, — a panu majorowi względem ich wyżywienia.

— Niech kapral wyłuszczy pierwszą swoją uwagę — rzekł na to Murphy, potakując głową.

— To jest pod względem żołdu, wasza wielmożność—zaczął kapral Pim.—Teraz gdy dnie zmniejszyły się o połowę, czy i żołd ma się zmniejszyć w tym stosunku!

Brygadier Murphy, nagle zaskoczony, pomyślał chwilę, a kilka potakujących kiwnięć głową wykazywało, iż uwagę kaprala uznaje za bardzo ważną. Potem zwrócił się do majora Oliphanta i wymieniawszy ze swym kolegą spojrzenie powiedział.

— Kapralu Pim, ponieważ żołd obliczony jest na czas upływający między dwoma wschodami słońca, nie zważając na długość tego czasu, żołd pozostanie takim, jakim był dawniej. Anglia jest dość bogata, by opłacać swych żołnierzy.

Był to dowodny sposób wykazania, że armia i sława Anglii zlewają się w jednej i tej samej myśli.

— Hurra! — krzyknęło dziesięciu ludzi, nie podnosząc jednak bynajmniej głosu; poprostu jakby powiedzieli „dziękujemy!“

Potem kapral Pim zwrócił się do majora Oliphanta.

— Niech kapral wynurzy drugą swoją reklamacyę, — rzekł major, spoglądając na swego podwładnego.

— To jest pod względem żywności, wasza wielmożność. Teraz, gdy dnie trwają tylko sześć godzin, czy będziemy mieli prawo do jedzenia tylko dwa razy na dzień, zamiast czterech?

Major pomyślał chwilę i zrobił brygadierowi znak głową, dający do zrozumienia, że widzi w kapralu człowieka pełnego zdrowego rozsądku logiki.

— Kapralu, — powiedział, — fenomena nie mogą mieć żadnego wpływu na regulamin wojskowy. Będziesz jadał ze swojemi ludźmi cztery razy na dzień co półtory godziny. Anglia jest dość bogatą by stosować się do praw wszechświata, jeżeli regulamin wymaga tego, dodał major, lekko zwracając się ku brygadyerowi Murphy, uradowany tem, że zastosował do nowego faktu sentencyę swego przełożonego.

— Hurra! — powtórzyło dziesięciu żołnierzy, kładąc na tę manifestacyę nacisk nieco większy.

Potem wykręciwszy się na piętach, z kapralem Pim na czele, wyszli regulaminowym krokiem z pokoju dwóch oficerów, którzy bezzwłocznie powrócili do swej partyi szachów.

Anglicy ci mieli słuszność, licząc na Anglię, gdyż ta nigdy swoich nie opuszcza. A jeżeli pomoc nie przyszła dotąd, to dlatego, że być może nie wiedziano na północy Europy co się wydarzyło na południu.

Tymczasem upłynęło czterdzieści dziewięć dni od owej pamiętnej nocy z 31go grudnia na 1go stycznia, a żaden angielski okręt nie ukazywał się na horyzoncie. Część morza, nad którą panowała wysepka, chociaż dotąd najbardziej uczęszczana, ciągle pozostawała pustą. Ale oficerowie i żołnierze nie okazywali najmniejszej niespokojności ani zdziwienia, a zatem najmniejszego upadku na duchu. Wszyscy pełnili służbę jak zwykle i regularnie zaciągali wartę. Regularnie również brygadyer i major odbywali przegląd garnizonu. Wszyscy wreszcie byli najzupełniej zadowoleni z żywności, od której w oczach prawie nabierali ciała i jeżeli dwaj oficerowie opierali się zagrażającej im otyłości, to dla tego, że ranga ich nie dozwalała nadmiaru ciała, co mogłoby kompromitować mundur.

Wogóle Anglicy nie źle spędzali czas na tej wysepce. Dwaj oficerowie, mając jednakie charaktery i gusta, zgadzali się z sobą we wszystkich punktach. Zresztą Anglik nie nudzi się nigdy, chyba we własnym kraju — i to jeszcze dla tego tylko, by stosować się do wymagania, które nazywa *cant*.

Co do towarzyszów, którzy znikli, to tych żałowali, bezwątpienia, ale z powściągliwością czysto brytańską. Jeżeli z jednej strony nie ulegało wątpliwości, że przed katastrofą było ich wszystkich tysiąc ośmset dziewięćdziesięciu pięciu, a z drugiej, że następnie znalazło się tylko trzynastu, to proste odciąganie wykazywało, że tysiąc ośmset ośmdziesięciu dwóch brakowało do apelu i to było wyrażone w raporcie.

Jak się powiedziało, wysepka — pozostałość po ogromnej masie, która wznosiła się na dwa tysiące czterysta metrów nad powierzchnią morza, — teraz zajęta przez trzynastu Anglików, była jedynym stałym punktem ukazującym się nad wodą w tych miejscowościach. Nie jest to jednak zupełnie dokładnem. Druga wysepka, podobna prawie do pierwszej, wynurzała się na południu, w odległości około dwudziestu kilometrów. Była to górna część tej masy, która niegdyś wznosiła się naprzeciw masy angielskiej. Tenże sam kataklizm sprowadził obie do tego, iż były tylko dwiema skałami, zaledwie zamieszkałemi.

Czy druga ta wysepka była pustą, czy też służyła za przytułek tym, którzy przeżyli katastrofę? O to zapytywali siebie oficerowie angielscy i prawdopodobnie do gruntu badali tę kwestyę między dwoma posunięciami na szachownicy. Kwestya ta wydała się im zapewne dość ważną by została należycie wyjaśnioną, ponieważ pewnego dnia, korzystając z pięknej pogody, wsiedli w łódź, przepłynęli kanał, rozdzielający dwie wysepki i powrócili dopiero po upływie trzydziestu sześciu godzin.

Czy jakie ludzkie uczucie spowodowało ich do zbadania tej skały, czy też interes całkiem innej natury? Nie powiedzieli nic o rezultacie swej wycieczki, nawet kapralowi Pim. Czy wy-

sepka była zamieszkałą? Kapral nic nie wiedział. Oficerowie popłynęli sami i sami powrócili. W każdym razie, pomimo ostrożnego ich zachowania się, kapral Pim wnioskował, że są zadowoleni. Major Oliphant spisał gruby zeszyt papieru, podpisany przez brygadiera Murphy, potem przypieczętowany pieczęcią 33 pułku, tak ażeby mógł być bezwłocznie wręczony pierwszemu statkowi, który ukaże się przed wyspą. Papier ten miał napis.

Do admirała Fairfax,
Pierwszego lorda Admiralicyi
w Zjednoczonem królestwie.

Ale żaden statek nie ukazywał się; nastąpił dzień 18 lutego, a komunikacya między wysepką a zarządem stołecznym nie została przywrócona.

W dniu tym brygadier Murphy, przebudziwszy się, tąk przemówił do majora Oliphanta.

— Dziś jest uroczystość droga każdemu prawdziwie angielskiemu sercu.

— Wielka uroczystość, odrzekł major.

— Nie sądzę, — zaczął znowu brygadier — by szczególne okoliczności, w jakich znajdujemy się, przeszkadzały dwom oficerom i dziesięciu żołnierzom zjednoczonych królestw do uczczenia rocznicy imienin królewskich.

— Nie sądzę, — odrzekł major Oliphant.

— Jeżeli jej królewska mość nie skomunikowała się dotąd z nami, to znaczy, że nie uznała tego jeszcze za właściwe.

— Bez wątpienia.

— Szklaneczkę porto majorze?

— Chętnie, brygadyerze.

Wino to, jakby specyalnie stworzone dla konsumcyi angielskiej, znikło w tej brytańskiej otchłani, którą pospólstwo angielskie nazywa „połapką na ziemniaki", a którą również słusznie możnaby nazwać „zgubą wina porto".

— A teraz, — rzekł brygadier, — postąpmy według regulaminu.

— Według regulaminu, — odrzekł major.

Zawezwany kapral Pim stawił się, z ustami jeszcze zmoczonemi narodową *brandy*.

— Kapralu Pim, — rzekł brygadyer, — dziś jest 18 lutego, jeżeli mamy liczyć tak jak liczyć powinien każden dobry Anglik, według dawnej metody kalendarza brytańskiego.

— Tak jest, wasza wielmożność — odrzekł kapral.

— Są to więc imieniny królewskie.

Kapral salutował po wojskowemu.

— Kapralu Pim, — zaczął znowu brygadyer, dwadzieścia i jeden wystrzał z działa, według ordynansu.

— Do usług waszej wielmożności.

— Ale, kapralu, — dodał brygadyer, — uważaj, by któremu z obsługujących działo nie urwało ręki.

— Zrobi się co można, — odpowiedział kapral, nie chcąc zobowiązywać się nad możność.

Z licznych dział, w które niegdyś twierdza była uzbrojona, pozostała tylko wielka armata, nabijająca się od przodu i trzymająca dwadzieścia siedm centymetrów w otworze. Było to więc działo ogromne, i chociaż salwy robiono zwykle z armat mniejszych rozmiarów, teraz wypadało użyć tej, ponieważ ona jedna stanowiła całą artyleryę wysepki.

Kapral Pim, należycie uprzedziwszy ludzi, udał się do podziemia, z którego wystrzelona kula wylatywała przez otwór w skale wykuty. Przyniesiono materjał niezbędny dla dwudziestu jednego strzału według zwyczaju. Rozumie się, że miano strzelać tylko prochem.

Brygadier Murphy i major Oliphant w wielkich mundurach i w kapeluszach z piórami przybyli dla asystowania czynności.

Działo zostało nabite według wszelkich przepisów „Podręcznika artylerzysty" i strzelanina rozpoczęła się.

Po każdym strzale, według otrzymanego zalecenia, kapral pilnował się przy nowym nabijaniu, ażeby strzał, wylatując, nie poczytał ręki kanoniera za pocisk — co się często zdarza przy publicznych zabawach. Ale na ten raz obeszło się bez przypadku.

Należy również zauważyć przy tej sposobności, że pokłady powietrza, mniej gęste, wstrząsały się z mniejszym hałasem pod naciskiem gazów, wylatujących z działa, i co za tem idzie i strzały nie były tak donośne jakby to miało miejsce przed sześciu tygodniami, co wywołało pewne niezadowolenie w oficerach. Nie było tego ogromnego odbicia się echa w zagłębieniu skały, które dawniej odgłos strzału przeistaczało w huk piorunu. Nie było tego majestatycznego odgłosu, który elastyczność powietrza przenosiła na wielką odległość. Łatwo więc zrozumieć, że przy takich warunkach miłość własna obu Anglików, chcących należycie uczcić imieniny królewskie, była w pewnej mierze niezadowoloną.

Dano dwadzieścia strzałów.

W chwili gdy nabijano działo po raz dwudziesty pierwszy, brygadyer Murphy skinieniem zatrzymał kanoniera i rzekł:

— Włóżcie bombę. Chciałbym poznać donosność tego nowego działa.

— Zrobimy doświadczenie, — dodał major — kapralu, słyszałeś?

— Do usług waszej wielmożności, — odpowiedział kapral Pim.

Jeden z obsługujących działo przywiózł na wózku bombę pełną, ważącą nie mniej nad dwieście funtów; taka zwykle sięgała na dwie mile. Śledząc lunetą bombę taką w jej przebiegu, łatwo można było dojrzeć punkt, w którym wpadnie w morze, a więc obliczyć w przybliżeniu rzeczywistą donosność olbrzymiego działa.

Działo zostało nabite, ustawiono je pod kątem na czterdzieści dwa stopnie i na komendę majora, rozległ się strzał.

— Na świętego Jerzego! — krzyknął brygadier.

— Na świętego Jerzego! — krzyknął major.

Dwa wykrzykniki dały się słyszeć jednocześnie. Dwaj oficerowie stali z otwartemi ustami i nie mogli wierzyć własnym oczom.

Bo też w samej rzeczy niepodobna było śledzić za pędem bomby, na którą przyciąganie mniej tu wpływało aniżeli wpływałoby na powierzchni ziemi. Nie można było, nawet za pomocą lunet sprawdzić jej upadku w morze. Wypadało więc przypuścić, że zaginęła daleko po za horyzontem.

— Więcej jak trzy mile! — rzekł brygadyer.

— Więcej... tak... więcej! — odpowiedział major

I — czy to było złudzenie? — na ów huk działa angielskiego, zdawało się, że odpowiedział słaby huk od strony morza.

Dwaj oficerowie i żołnierze słuchali, nadstawiwszy uszy z największą uwagą.

Kolejno dały się słyszeć jeszcze trzy strzały w tym samym kierunku.

— Okręt! — rzekł brygadyer. A jeżeli to jest okręt, to musi być nie inny jak tylko angielski.

W pół godziny potem ukazały się dwa maszty na widnokręgu.

— Anglia do nas przybywa! — rzekł brygadyer Murphy tonem człowieka, którego zdanie fakta stwierdzają.

— Usłyszał odgłos naszego strzału, — odpowiedział major Oliphant.

— Byle go nasza bomba niedosięgła! — mruknął kapral Pim na stronie.

W pół godziny potem tułów statku doskonale był widzialny na horyzoncie. Długi obłok czarnego dymu, ciągnący się za nim, wskazywał, że był to parowiec. Wkrótce można było rozpoznać parową galiotę, która zbliżała się ku wysepce z wyraźnym zamiarem przybicia do lądu. Na przodzie jej powiewała bandera, ale niepodobna jeszcze było rozpoznać jej narodowości.

Murphy i Oliphant z lunetami w ręku nie spuszczali jej z oka ani na chwilę; pilno im było salutować jej barwy.

W tem nagle dwie lunety opuściły się, jakby wskutek automatycznego jednoczesnego ruchu dwóch rąk i oficerowie zdumieni, spojrzeli po sobie, — mówiąc:

— To nie angielska bandera!

Na przodzie galioty powiewała biała chorągiew z niebieskim krzyżem.

ROZDZIAŁ XIV.

Wykazujący pewne naprężenie w stosunkach międzynarodowych i doprowadzający do plątaniny jeograficznej.

Galiota szybko przybiła do brzegu i Anglicy mogli wyczytać na jej przodzie napis: *Dobryna.*

Zagłębienie w skale tworzyło w południowej części wysepki rodzaj zatoki, mogącej pomieścić nie więcej nad cztery łodzie rybackie; ale dla galioty tworzyło to przystań wystarczającą, a nawet bezpieczną, byle tylko nie wzmógł się wiatr wschodnio - południowy. Wpłynęła więc w zatokę. Zapuszczono kotwicę, i wkrótce łódź o czterech wioślarzach z hrabią i kapitanem Servadac przybiła do lądu.

Brygadyer Murphy i major Oliphant, sztywni i nadęci, czekali z powagą.

Hektor Servadac, prędki jako Francuz, pierwszy przemówił do nich.

— O, panowie! — zawołał — Bogu niech będzie chwała! Panowie, tak jak my, uniknęliście klęski! szczęśliwi jesteśmy, że możemy uścisnąć dłonie dwóm istotom do nas podobnym!

Oficerowie angielscy nie postąpili ani kroku, nie zrobili nawet żadnego poruszenia.

— Ale — zaczął znowu Hektor Servadac, nie dostrzegając bynajmniej tej wyniosłej sztywności — czy macie wiadomości z Francyi, z Anglii, z Europy? Gdzie się zatrzymał fenomen? Czy macie stosunki z ojczyzną? Czy...

— Do kogo mamy honor mówić? — zapytał brygadyer Murphy, poprawiając się tak by nie stracić ani cala ze swego wzrostu.

— To słuszna — rzekł kapitan Servadac, nieznacznie ruszywszy ramionami — nie byliśmy jeszcze sobie przedstawieni.

Potem, zwróciwszy się do swego towarzysza tak samo oziębłego jak dwaj brytańscy oficerowie, powiedział:

— Hrabia Timaszew.

*

— Major sir John Temple Oliphant — odrzekł brygadyer, przedstawiając swego kolegę.

Dwaj przedstawieni ukłonili się sobie.

— Kapitan sztabu głównego Hektor Servadac — rzekł teraz hrabia.

— Brygadyer Henage Finch Murphy — odpowiedział z powagą major Oliphant.

Nowe ukłony dwóch zaprezentowanych.

Prawa etykiety ściśle zostały zachowane. Teraz można było rozmawiać bez narażenia się.

Rozumie się, że wszystko to powiedziane było po francusku, to jest w języku zarówno znanym Anglikom i Rosyanom, z czego ziomkowie kapitana Servadac wyprowadzają wniosek, że nie mają potrzeby uczyć się ani angielskiego ani rossyjskiego języka.

Brygadyer Murphy, zrobiwszy znak ręką, poprzedził swych gości, za którymi szedł major Oliphant i wprowadził do pokoju, który zajmował ze swoim kolegą. Był to rodzaj kazematy, wykutej w skale, ale której nie zbywało na pewnym komforcie. Wszyscy usiedli i rozmowa mogła pójść regularnym trybem.

Hektor Servadac, którego zirytowało tyle ceremonij, pozostawił rozpoczęcie jej hrabiemu. Ten zaś, pojmując że Anglicy uznają za niebyłe wszystko, co się powiedziało przed zaprezentowaniem się wzajemnem, rozpoczął *ab ovo*.

— Zapewne wiadomo panom — powiedział — że kataklizm, którego przyczyn nie mogliśmy jeszcze dociec, miał miejsce w nocy z 31go grudnia na 1 stycznia. Widząc co pozostało z terytoryum, które zajmowaliście przedtem, nie ulega wątpliwości, że gwałtownie odczuliście wstrząśnienie.

Dwaj oficerowie ruchem i skinieniem głowy dali do zrozumienia, że tak jest.

— Towarzysz mój, kapitan Servadac — ciągnął hrabia dalej — także w wysokim stopniu doznał jego skutków. W charakterze oficera głównego sztabu wysłany na wybrzeże Algieryi...

— Sądzę, że to francuska kolonia... — rzekł major Oliphant, na pół przymrużając oczy.

— Najzupełniej francuska — odrzekł sucho kapitan Servadac.

— Było to u ujścia Chelifu — ciągnął dalej flegmatycznie hrabia, — tam, podczas tej złowrogiej nocy, część stałego lądu afrykańskiego nagle przeistoczyła się w wyspę, a reszta, jak się zdaje zupełnie znikła z powierzchni kuli ziemskiej.

— A! — zawołał brygadyer Murphy, tym tylko wykrzyknikiem okazując swe zdziwienie.

— A pan, hrabio—zapytał major Oliphant — czy mogę wiedzieć gdzieś się pan znajdował podczas tej złowrogiej nocy?

— Na morzu, panie, na pokładzie mojej galioty i poczytuję za cud to żeśmy nie zginęli.

— Możemy tylko powinszować tego panu — odrzekł brygadyer Murphy. Hrabia mówił dalej:

— Gdy traf sprowadził mnie na brzeg algierski, ucieszyłem się, znalazłszy na nowej wyspie kapitana Servadac, jak również i jego ordynansa Ben-Zufa.

— Ben?... — powtórzył major Oliphant.

— Zufa! — dorzucił kapitan Servadac.

— Ponieważ kapitanowi Servadac — mówił dalej hrabia — pilno było zasięgnąć jakichkolwiek wiadomości, więc przeniósł się na *Dobrynę*. Potem zwróciwszy się ku dawnemu wschodowi, staraliśmy się rozpoznać co pozostało z kolonii algierskiej... nie pozostało nic.

Brygadyer Murphy ruszył lekko wargami, jakby chciał dać tem do zrozumienia, że kolonia już dla tego samego, że była francuską, nie mogła przedstawiać należytej solidarności. Hektor Servadac, dostrzegłszy to, podniósł się nieco by mu odpowiedzieć, ale powstrzymał się.

— Klęska była ogromną, moi panowie — ciągnął hrabia dalej. — Na całej wschodniej części morza Śródziemnego nie znaleźliśmy żadnego śladu dawnego lądu; ani Algieryi, ani Tunisu, wyjąwszy jednego punktu, a mianowicie skały, wynurzającej się z wód koło Kartaginy i zawierającej grobowiec króla francuskiego...

— Ludwika IX, jak sądzę — rzekł brygadyer.

— Więcej znanego pod nazwą Ludwika świętego, panie! — dorzucił kapitan Servadac, na co brygadyer Murphy ruszył lekko ramionami i pobłażliwie uśmiechnął się.

Dalej hrabia opowiedział, że galiota popłynęła na południe aż do zatoki Gabes, że morze Saharskie nie istniało już, co dwaj Anglicy zdawało się, iż znajdowali całkiem naturalnem, ponieważ był to utwór francuski; że nowy brzeg, dziwnego składu, wystąpił z wód przed wybrzeżem tripolitańskiem, że ciągnie się ku północy wzdłuż dwunastego stopnia, prawie do Malty.

— Ta zaś angielska wyspa — pośpieszył dodać kapitan Servadac — ta Malta ze swojem miastem, swoją Goulette, swemi fortyfikacyami, swemi żołnierzami, swoimi oficerami i swoim gubernatorem także poszła połączyć się w otchłani z Algieryą.

Czoła dwóch Anglików zasępiły się na chwilę, ale prawie natychmiast rysy ich wyraziły powątpiewanie względem tego co powiedział oficer francuski.

— Trudno przypuścić takie bezwzględne pochłonięcie — zauważył brygadyer Murphy.

— Dla czego? — zapytał kapitan Servadac.

— Malta jest wyspą angielską — odrzekł major Oliphaut — i jako taka...

— Znikła tak dobrze, jak gdyby była chińską! — odparł kapitan Sarvadac.

— Możeście panowi popełnili błąd w swych spostrzeżeniach podczas żeglugi galioty.

— Nie moi panowie — odrzekł hrabia — żaden błąd nie był popełniony, a trzeba ustąpić wobec widocznego faktu. Anglia niewątpliwie ma wielki udział w klęsce. Nie tylko wyspa Malta nie istnieje, ale nowy kontynent zamknął zupełnie morze Śródziemne. Gdyby nie wąska ciaśnina, w jednym tylko punkcie przerywająca prostą linię, nigdy nie zdołalibyśmy dostać się do was Na nieszczęście sprawdzono, że jeżeli nic nie pozostało z Malty, to również nie wiele pozostało z wysp Jońskich, które od kilku lat właśnie powróciły pod protektorat angielski!

— A nie sądzę — dodał kapitan Servadac — ażeby lord wielki kanclerz, naczelnik panów, miał powód do winszowania sobie tej katastrofy.

— Lord kanclerz, nasz naczelnik? — odpowiedział brygadyer Marphy, z miną jak gdyby nie rozumiał co się do niego mówi.

— Tak samo jak panowie nie macie czego sobie winszować — dodał kapitan Servadac — żeście zostali w Korfu.

— Korfu?... — odrzekł major Oliphant. — Pan kapitan wyraźnie powiedział Korfu?

— Tak jest! Kor-fu! — powtórzył Hektor Servadac.

Dwaj Anglicy, naprawdę zdziwieni, przez chwilę milczeli, zapytując sami siebie do czego zmierza oficer francuski, ale zdziwienie ich stało się jeszcze większem, gdy hrabia zapytał czy dawno mieli wiadomości z Anglii, otrzymane bądź przez statek angielski, bądź telegrafem podmorskim.

— Nie, panie hrabio, lina podmorska przerwała się — odpowiedział brygadyer Murphy.

— Więc może macie komunikacyę za pomocą telegrafów włoskich?

— Włoskich? — powtórzył major Oliphant. — Zapewne chcesz pan powiedzieć hiszpańskich?

— Włoskich, czy hiszpańskich — odparł kapitan Servadac — mniejsza o to, moi panowie, czy mieliście wiadomości ze stolicy Brytanii?

— Żadnych nie mieliśmy — odrzekł brygadyer Murphy. — Ale jesteśmy spokojni, to nie długo potrwa...

— Chybaby już nie było stolicy! — rzekł z powagą kapitan Servadac.

— Nie było stolicy?

— Co musi stać się, jeżeli nie ma Anglii!

— Nie ma Anglii!

Brygadyer Murfthy i major Oliphant podnieśli się mechanicznie, jak gdyby poruszeni sprężyną.

— Zdaje mi się—rzekł brygadyer Murphy — że pierwej aniżeli Anglia, Francya... sama..

— Francya może lepiej trzymać się, ponieważ jest częścią stałego lądu! — odparł kapitan Servadac, zapalając się.

— Lepiej aniżeli Anglia?...

— Anglia jest tylko wyspą i bardzo rozluźnionego składu; mogła więc całkiem zaginąć!

Mogła nastąpić scena. Dwaj Anglicy już się prostowali, a kapitan Servadac był zdecydowany nie ustępować.

Hrabia próbował załagodzić przeciwników, których roznamiętniała prosta kwestya narodowości, ale nie udało mu się.

— Panowie — powiedział chłodno kapitan Servadac — sądzę, że spór ten skorzysta na tem, gdy prowadzić się będzie na otwartem powietrzu. Panowie jesteście tu u siebie... ale gdybyście zechcieli wyjść...

Hektor Servadac opuścił pokój, a za nim wyszli bezzwłocznie dwaj Anglicy i hrabia. Wszyscy zebrali się na płaszczyźnie, tworzącej wyższą część wyspy; miejscowość tę kapitan w myśli wystawiał sobie jako terytoryum neutralne

— Panowie — rzekł natenczas kapitan Servadac, zwracając się do dwóch Anglików — pomimo, że Francya jest zubożona od czasu jak utraciła Algieryę, zawsze jednak jest jeszcze w możności dania odpowiedzi na prowakacye, bez względu na to zkąd one pochodzą! Otóż ja, oficer francuski, mam honor reprezentować na tej wyspie Francyę, z tego samego tytułu, z jakiego panowie reprezentujecie Anglię.

— A to wybornie! — odrzekł brygadyer Murphy.

— I nie zniosę..

— Ani ja — wtrącił major Oliphant.

— A ponieważ jesteśmy tu na gruncie neutralnym...

— Neutralnym?... — zawołał brygadyer Murphy. — Pan jesteś tu na gruncie angielskim.

— Angielskim?

— Tak jest, na gruncie, który okrywa sztandar angielski.

I brygadier wskazał na sztandar zjednoczonych królestw, powiewający na najwyższym szczycie wyspy.

— Ba! — odparł ironicznie kapitan Servadac. — Ponieważ podobało się panom umieścić ten sztandar po katastrofie...

— Był tam przedtem.

— Sztandar protektoratu, a nie posiadania, moi panowie.

— Protektoratu! — wykrzyknęli oba Anglicy.

— Panowie, — rzekł Hektor Servadac, uderzając nogą w ziemię, wysepka ta jest wszystkiem co pozostało z terytoryum rzeczypospolitej reprezentacyjnej, co do której Anglia posiadała tylko prawo protekcyi.

— Rzeczypospolitej! — powtórzył brygadier Murphy, ogromnie rozwarłszy oczy.

— I jeszcze, — ciągnął dalej kapitan Servadac prawo to do wysp Jońskich było bardzo sporne, dziesięć razy tracone, dziesięć razy odzyskiwane!

— Wysp Jońskich? — zawołał major Oliphant.

— A tu, w Korfu...

— Korfu?

Zdumienie obu Anglików było tak wielkie, że hrabia, dotąd bardzo obojętny, pomimo że był usposobiony wziąć stronę oficera sztabu głównego, uznał iż wypada wdać się w ten spór. Miał więc zwrócić się do brygadyera Murphy, gdy ten spokojniejszym tonem rzekł do kapitana Servadaca:

— Nie powinienem pozostawiać pana dłużej w błędzie, którego przyczyny nie mogę odgadnąć. Pan jesteś tu na ziemi będącej angielską na mocy prawa zawojowania i posiadania w r. 1704, prawa, które zostało zatwierdzone przez traktat utrechtski. Prawda, że kilkakrotnie Francya i Hiszpania próbowały zaprzeczać mu w r. 1727, 1779, 1782, ale się to im nie powiodło. Więc pan tu, na tej wysepce jesteś tak dobrze w Anglii, jak gdybyś był na placu Trefalgar w Londynie.

— Więc nie jesteśmy w Korfu, stolicy wysp Jońskich? — zapytał hrabia, tonem głębokiego zdumienia.

— Nie, panowie, — odrzekł brygadier Murphy. Tu, jesteście panowie na Gibraltarze.

Gibraltar! wyraz ten zadźwięczał w uszach hrabiego i oficera głównego sztabu jak piorun. Sądzili, że są w Korfu, na wschodnim krańcu morza śródziemnego, a byli w Gibraltarze, na krańcu zachodnim, pomimo że *Dobryna*, podczas całej swej podróży nie żeglowała w kierunku od wrotnym.

Był to więc fakt nowy, z którego należało wyprowadzić wnioski. Hrabia zamierzał właśnie uczynić to, gdy uwagę jego zwróciły krzyki. Odwrócił się i ku wielkiemu swemu zdziwieniu ujrzał majtków z *Dobryny* kłócących się z żołnierzami angielskimi.

Jaki był powód tej awantury? Poprostu kłótnia majtka Panofki z kapralem Pim. A o co poszło? O to, że bomba, rzucona z działa, rozbiwszy pancerz na galiocie, zarazem stłukła fajkę Panofki — nie bez tego by mu trochę nie zawadzić o nos, który być może iż był nieco dłuższy jakby wypadało na nos zwyczajny.

Otóż podczas gdy hrabia i kapitan Servadac doznawali niejakiej trudności w porozumieniu się z oficerami angielskimi, ludzie z *Dobryny* zabierali się do bójki z załogą wyspy.

Naturalnie, że Hektor Servadac wziął stronę Panofki, za co otrzymał taką odpowiedź od majora Oliphanta, że Anglia nie jest odpowiedzialną za swoje pociski, że było to winą majtka, że majtek ten podczas przelotu bomby znajdował się tam, gdzie nie powinienby znajdować się, że gdyby miał nos zadarty, toby to się nie wydarzyło i t. d.

Usłyszawszy to hrabia, pomimo swej zimnej krwi, począł gniewać się i po wymianie kilku dumnych wyrazów z dwoma oficerami, dał swym ludziom rozkaz do powrotu.

— Zobaczymy się jeszcze z panami! — rzekł kapitan Servadac do dwóch Anglików.

— Jak się panu spodoba! — odrzekł major Oliphant.

Wobec tego nowego fenomenu który umieszczał Gibraltar tam, gdzie według jeografii, powinno było znajdować się Korfu, hrabia i kapitan mogli mieć jedną tylko myśl: popłynąć do Francyi.

Dla tego też *Dobryna* bezzwłocznie wyszła pod żagle, a we dwie godziny potem nie było już widać ani śladu tego co pozostało po Gibraltarze. (C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 20. grudnia.

Nareszcie własnemi oczami oglądaliśmy, i własnemi uszami słuchaliśmy to gadające dziwo zwane telefonem, które wynaleziono w październiku na drugiej półkuli, już lotem błyskawicy rozbiegło się po całym świecie. A nic w świecie prostszego nad ten przyrząd: wystawcie sobie drewniany młotek toczony, podobny do tych jakie sprzedają do tłuczenia cukru, tylko główka cokolwiek płaksza, a w tej główce na wierzchu otworek wielkości centa. W środku tego młoteczka pod owym otworem jest cienka blaszka żelazna, a pod nią sztabka zamagnesowanego żelaza owinięta drutem miejsce koło miejsca, którego dwa końce wychodzą przez otwory boczne w rączce młotka zrobione — oto jest cały przyrząd telefonem zwany. Dwa takie telefony połączone z sobą tymi dwoma drucikami w odległości jak zapewniają nawet dziesięciu mil, stanowią wyborny przewodnik głosowy tak, że mówiąc do otworku w jednym telefonie, gdy drugi przyłoży się do ucha, słychać wyraźnie też same wyrazy i całe zdania...

Na prelekcyi publicznej, którą urządzono w gmachu szkoły politechnicznej, docent p. Abakanowicz wykładał w sali laboratoryum chemicznego, a p. inżynier Gostkowski w gmachu głównym w drugiej sali, i przez ten telefon gawędziliśmy sobie, swistaliśmy, zmówiliśmy Ojcze nasz, a tamci wszystko to słyszeli. Nawzajem co oni mówili — nam jakby szmer metaliczny przynosił telefon wyraźnie, choć słabo, wszystkie wyrazy. A zatem jest to rzeczywiście cudowne odkrycie, które zapewnie nie poprzestanie na tej próbie, lecz pójdzie tak daleko, iż nie trzeba będzie nawet nic mówić nad otworkiem telefonu, a tylko coś sobie pomyśleć, a druga osoba będzie o tem wiedziała. Dawniej, a raczej do tego czasu, na odgadnięcie naszych myśli znaliśmy tylko dwa sposoby... Widzę, czytelnicy otwieracie usta i robicie wielkie oczy, słysząc to moje twierdzenie — a jednak coś było choć nie tak udoskonalone jak przyszły *telemyśl*. Przypomnijcie sobie tylko, że jak kto z was dostał czkawki, to był niezawodny znak, że ktoś was wspomina. Drugi sposób już więcej zbliżony do dzisiejszego odkrycia, było dzwonienie w uszach. Zapewniają że wtedy trzeba sobie tylko wspominać osoby, które o nas myślą, a jak się trafiło na tą co rzeczywiście myślała — dzwonienie ustawało. My autorowie, na takie zgadywanie mamy radykalne bardzo wspomnienie: albo krytyka z którejbądź gazety, albo żyda wierzyciela; pomyślawszy o którym bądź z nich, szczególnie o tym drugim, dzwonienie w lewem czy w prawem uchu natychmiast ustaje.

Przy owych próbach z telefonem wynalazku Bela, ciekawa publiczność bardzo pocieszną miała minę, i gdyby nie nastrój poważny całego posiedzenia, możnaby pękać ze śmiechu, jak ludzie zkądinąd poważni, z całą uroczystością trzymając młotek ów w ręku, mówili do niego tak na seryo i z namaszczeniem, jakby się zaklinało ukrytego tam asmodeuszka.

Ba! telefon, telefonem — już jest, więc mniejsza o niego, ale tu nam zapowiadają jeszcze coś lepszego. Jeden uczony Anglik zaprawiwszy papier pewną substancyą chemiczną i rozciągnąwszy go jako błonkę, mówi do tego papieru, na którym pod spodem umieszczony sztyfcik robi wskutek drgania papieru różne hyroglify utrwalające tę mowę. Papier tak napojony gadaniem, założy się na drugą maszynkę odpowiednią, i głosem oryginału będzie powtarzał to wszystko co słyszał i zanotował. Panowie stenografowie, literaci, drukarze drżyjcie! kto będzie chciał potem czytać wasze utwory, psuć sobie oczy i forsować gardło. Zamiast książek dzisiejszych, kupi się książkę z gadaniami, i człowiek położywszy się wygodnie na sofie, nakręci maszynkę naprzykład na Bismarka albo pana R. ze Lwowa i mów! W ten sposób każemy sobie śpiewać pannie Patti za centa.. bo jużci taki arkusz nie powinien więcej kosztować... I pisać wtedy nie trzeba się uczyć, na co? Będę gadał tylko do papieru, a on w żywem słowie zaniesie moje czułe wyznanie kochance... Myślicie czytelnicy, że to żarty — broń Boże, daję wam słowo, mówię to z przekonaniem, że w przyszłym roku kronikę moją będziecie słuchać na jawie i przekonacie o miłym dźwięku głosu waszego sługi. Nie wątpię, że nasza redakcya Tygodnia rozeszle wam gratis maszynki do mówienia, bo nie będzie potrzebowała płacić za druk, za korektę i inne wydawnicze dolegliwości.

Tymczasem kochany nasz Lwów rozprelegował się na dobre. Jedne odczyty już były, drugie są, a trzecie będą, to w kasynie mieszczańskiem, to w sali ratuszowej. Adwent i post wielki, to mają do siebie, że zawsze przynoszą nam śledzie na obiad, a odczyty na kolacyę. Pokazuje się, że musi być jakaś analogia między temi rzeczami, a może i sympatya, skoro jednocześnie przychodzą. Lecz jaka? nie mam odwagi dzielić się z czytelnikami tem spostrzeżeniem... Powiem tylko w ten sposób, jak Andrassy powiedział delegacyi o trójcesarskim przymierzu, że rozwiązaniu kwestyi wschodniej nie podobna było Austryi inaczej przeszkodzić jak wojną. Chcecie, możemy się jeszcze bić.... Ja nie będę w tem położeniu co Tisza, któremu mityng peszteński powiedział, że chce się bić, a on na to otworzył usta... i nic nie powiedział.... Nie, wasz kronikarz jest mniej wojowniczo usposobiony przeciw koalicyi prelekcyjnej, i jeżeli odważy się co wyszeptać, to chyba to, że po śledziach zawsze się pić chce szalenie, a po odczytach wzrasta apetyt, lecz do...... nauki. Daj Boże, aby tylko tak samo szalenie, bo w takim razie stosy książek po półkach księgarskich nie pokrywałyby się warstwą calową pyłu, ale by szły

między ludzi na zaspokojenie szlachetnego głodu. Takiego apetytu szanowni czytelnicy życzy wam kronikarz lwowski przy nadchodzącej wigilii Bożego Narodzenia. Wierzcie mi, nauka smaczniejszą jest daleko więcej od ryb w siedmiu daniach, więcej od strucel przekładanych makiem i kutii; sprobujcie tylko i kupcie zamiast nich książki, a podziękujecie mi, za to ręczę!

Na dochód sierót Zakładu św. Teresy, dobroczynne panie urządziły Bazar zabawek dziecinnych przy ulicy Jagielońskiej, gdzie i nasze koronki i roboty rzeźbiarskie szkoły Rymanowskiej znalazły pomieszczenie... Jestto bardzo piękny pomysł dania możności zamożnym dzieciom ofiarowania zapomogi dla biednych dzieci, i liczymy na dobre serca Lwowian, że skorzystają z tego zdarzenia, aby uczynek dobroczynny połączyć z przyjemnością swej dziatwy.

Kochani czytelnicy! — gdybym mógł mieć tak wielki opłatek jak cała Polska, abym podawszy go wam do łamania był w możności złożenia życzeń Dosiego roku, wierzcie mi, że trzymałbym go rok cały w dłoni aby wszystkich obdzielić. Jeżeli kto, to my nieszczęśliwe stóletnie rozbitki mamy sobie co życzyć. Wytrwałości i bratniej zgody, energii i rozsądku, pracy i poświęcenia, a przedewszystkiem tej wiecznie drgającej w sercach naszych miłości ojczyzny, która żyje — dalibóg żyje dotąd i żyć będzie! Otóż życzmy sobie aby ta wiara nigdy w nas nie wygasła; aby wstając z rana i kładąc się wieczór do spoczynku przez rok cały, była ona przytomną każdej czynności i każdej myśli naszej, bo z myśli tylko powstają czyny, a czyny te podniosą prędzej niż nam się zdaje, wiekową trumnę ojczyzny!

* * *

Szereg odczytów na dochód Tow. wzaj. pom. słuchaczów politechniki rozpoczął we środę znakomity nasz historyk *Henryk Schmitt* wykładem „Sprawa polska na kongresie wiedeńskim.“ Odczyt pierwszy był przygotowawczym, w którym szanowny prelegent przedstawił w ogólnym rzucie sprawę polską od czasu ostatniego rozbioru Polski do Kongresu wiedeńskiego. Podniósł zasługi legionów polskich, które dla tego, że walczyły w imię wolności Polski, chociaż na obcej ziemi i dla obcej sprawy, położyły zasługi względem ojczyzny i stały się bodźcem dla Napoleona do podniesienia sprawy polskiej. Znane są poglądy autora na zachowywanie się Napoleona względem Polski (patrz *Dzieje porozbiorowe*), tu tylko w streszczeniu, ale niemniej jasno i przekonywająco je powtórzył: że leżało w polityce Francyi i Napoleona odbudowanie Polski, tj. postawienie silnego mocarstwa, któreby paraliżowało zaborczą politykę Prus i Moskwy i trzymało w szachu Austryę, że do tego stale dążył od roku 1805, już to wydzierając Prusom ich zabór w r. 1806 i tworząc Księstwo warszawskie, już w roku 1809 przyłączając do Księstwa wydarte Austryi polskie prowincye, już w roku 1812 podejmując wszystkiemi siłami wraz ze skoalizowaną Europą olbrzymią wojnę z Moskwą, już działając przez swoich agentów i konsulów w Warszawie między 1806 a 1812 r. w duchu podniesienia siły zbrojnej polskiej i przygotowania narodu polskiego do zrzucenia jarzma.

Wręcz przeciwnie zapatruje się na stosunek Napoleona do Polski inny historyk, Teodor Morawski, który 6 tom swoich Dziejów narodu polskiego poświęca Dziejom porozbiorowym, twierdząc, że ponieważ Napoleon nie odbudował Polski, ponieważ zawsze cofał się przed trudnościami (nieprzezwyciężonemi), ponieważ głównie miał na oku interesa Francyi i swoje własne, więc nie myślał o odbudowaniu Polski. Gdyby odbudowanie Polski nie przedstawiało interesu dla Francyi i dla Napoleona, nie moglibyśmy mieć do niego żalu ani pretensyi, aby się naszą sprawą zajmował. Henryk Schmitt w wyżej zacytowanem dziele swojem przytoczył wiele nie dwuznacznych dokumentów, które stanowczo, zdaniem naszem, rzecz tę rozstrzygają. I tam też łaskawego czytelnika odsyłamy.

Jednocześnie z Napoleonem i Aleksander I. car moskiewski, nosił się z myślą odbudowania Polski na swój sposób. Czyli plany jego były szczere, czy tylko chodziło mu o pozyskanie obietnicami serc polskich, co ułatwiłoby mu zagarnięcie całej Polski, dotąd pozostaje nie wyjaśnionem. Dosyć że Adam Czartoryski, Michał Ogiński, Wawrzecki, a nawet Kościuszko uwierzyli mu i starali się go podtrzymywać w tych intencyach dodając ochoty do zrealizowania. Są fakta przemawiające za szczerością Aleksandra, jak zaprowadzenie w zabranych 8miu guberniach wychowania polskiego w myśl komisyi edukacyjnej, podniesienie uniwersytetu wileńskiego, dozwolenie Czackiemu na założenie szkoły krzemienieckiej, umizgi do Polaków w Księstwie, kokietowanie z wojskiem polskiem, utworzenie komitetu tajnego w Petersburgu do przeprowadzenia tej sprawy. Wszak więcej prawdopodobieństwa przedstawia myśl, że w tem wszystkiem nie było innego celu, jak tylko chęć zawładnięcia całą Polską. Już to samo, że Moskwa nie zgodziłaby się nigdy na dobrowolne oddzielenie Polski, tj. prowincyi przez Katarzynę zabranych, nie pozwala przypuszczać, aby car mógł mieć inną politykę. Zresztą cały stosunek cara z komitetem litewskim, na czele którego stał Michał Ogiński, te ciągłe obietnice, nigdy do skutku niedoprowadzone, wskazują, że Czartoryski, Ogiński etc. ze swoją wiarą w cara byli tylko dogodnem narzędziem w jego rękach do przeprowadzenia zaborczych planów.

Najświetniejszem w odczycie p. Schmitta było pociągnięcie paralelli między Napoleonem i Aleksandrem, z których każdy głosił chęć odbudowania Polski i pierwszy zajmował się tą sprawą od r. 1806 do swego upadku, drugi od wstąpienia na tron do kongresu wiedeńskiego — Pierwszy chciał aby *Polacy sami odzyskali niepodległość* przy jego potężnej pomocy, drugi chciał aby Polacy jemu zaufali w zupełności, a on o Polsce nie zapomni. I gdyby car nie napotkał przeszkód ze strony Prus i Austryi, niewątpliwie zabrałby całą Polskę — ale właśnie w tem leżała niemożliwość urzeczywistnienia planów carskich.

Czartoryski sądził, że potrafi poróżnić Prusy z Moskwą i wydrzeć im zabór polskich prowincyj, lecz zawiódł się najzupełniej, jak zawiedli się wszyscy, którzy tak przedtem jak i po dzień dzisiejszy, nie wyjmując i Thiersa, podobne przypuszczenia czynili. Zaborcza polityka obu tych dworów spaja je z sobą nierozerwalnym węzłem, który przetrwał już 115 lat.

W sobotę (d. 22go grudnia) szanowny prelegent mówić będzie o Kongresie wiedeńskim.

W końcu wyrazić musimy nasze zdziwienie, że ani odczyt znakomitego historyka, ani w najwyższym stopniu zajmująca treść odczytu, ani podniosły cel odczytu, jako pomoc niezamożnym słuchaczom Politechniki, nie sprowadziły dostatecznej liczby słuchaczy do sali, pomimo bardzo niskiej ceny wstępu. W Warszawie skoro idzie o pomoc uczącym się, publiczność garnie się tłumami, chociażby prelegentem nie był autor tak znakomity, chociażby treścią odczytów nie była Historya Polska. Tłumy publiczności przepełniają salę słuchając wykładu o Kafrach, Hotentotach lub o czemkolwiek. Zdaje się, iż najmniej popularnym dla Lwowian przedmiotem jest Historya Polska i dla tego to tak dziwne pojęcia o naszej przeszłości na każdym kroku można napotykać.

BIBLIOGRAFIA
polska.

— *Daszyński Wł.* Rzuty środkowe czyli nauka wolnej perspektywy dla szkół wyższych realnych, technicznych, przemysłowych, realnych gimnazyów, dla architektów, słuchaczów szkół malarskich i rysowników 8ka str. 80 z 42 tablicami litografowanemi 136 figurami. Lwów 1878 2.50. ct.

— *Giovagnoli Rafael.* Opinia. Sceny historyczne z VI. wieku ery rzymskiej. Przełożył z włoskiego Piotr Zubrzycki 3 tomy 8ka str. 100. 105. 105. Warszawa 1877. 1.80 ct.

— *Lucya z Lamermooru* (libretto). Opera w trzech aktach słowa Salwatora Cammarano, muzyka G. Donizettego. 16ka str. 60. Lwów 1877. 25 ct.

— *Richling W.* Zbiór najużywańszych kolęd tudzież pieśni adwentowych postnych i wielkanocnych z towarzyszeniem fortepianu lub organu ułożony. Kraków 1878. 80. ct.

— *Schmidt Ant.* Katechizm hodowania drzew owocowych jakoteż rozpoznawania owoców i wyrabiania jabłecznika 8ka str. 144. Lwów 1878. 80 ct.

— *Stebelski Wł.* Humoreski I. 8ka str. 50. Lwów 1878. 50 ct.

— *Urbański Aureli,* Poezye. Wydanie drugie pomnożone 8ka str. 106. Lwów 1878. 1 złr.

— *Wolski czy Dobrzański*? Głos wyborcy lwowskiego w sprawie kandydatur na krzesło poselskie w Radzie państwa zajmowane dotąd przez Dra. Fr. Smolkę. 8ka str. 6. Lwów 1877. 5 ct.

— *Younga Zofia.* Sierota. Obrazek z potocznego życia. 8ka str. 128. Warszawa 1877. 60 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.
Literatura, sztuka i nauka.

— *Dziejów powszechnych Szlossera* wyszedł już z druku zeszyt 126, który zamyka kwartał 21 tego wydawnictwa. Dalsze zeszyty do końca dzieła prenumeratorowie otrzymają już bez żadnej dopłaty.

Na rok 1878 Księgarnia Polska ogłasza jako dalszy ciąg „Biblioteki historycznej“: Gralewskiego „Kaukaz“, Oskara Peschla „Historya geograficznych odkryć“ i Ryszarda Reppla „Dzieje Polski“, które to wszystkie trzy dzieła wyjdą w ciągu roku 1878 wychodząc jak dotąd po 2 zeszyty na miesiąc tak, że całość złoży 120 arkuszy druku dużego formatu. Prenumerata całoroczna wynosi 10 złr., a więc prenumeratorowie otrzymają te tak cenne dzieła o połowę taniej jak są w oryginale niemieckim.

— *Varia* z literatury, historyi, archeologii i przyrody, przez Lucyana Siemieńskiego, wyjdzie w 2 tomach nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu. Tom I. zawierać będzie: O róży, o słowiku, Laur i Laureaci, o księżycu, Dzwon Zygmuntowski, Ogrody w historyi i poezyi, wilia Bożego Narodzenia, Z okolicy podgórskiej, Bajka Krasickiego. Tom II z. b: O piórze i pisaniu, kobiernictwo i potop Zygmunta Augusta, Album Amicorum, Kazimierz Pułaski w Ameryce, Książę Karol de Ligne, Wierszokleta starej daty, Niewiasta homeryczna. Byłoby zbytecznem podnosić zalety pióra Lucyana Siemieńskiego. Na dzieło powyższe rozpisaną jest prenumerata, która do wyjścia dzieła z druku wynosi 3.90 potem podniesioną będzie na 5.20

— Zarząd biblioteki kórnickiej rozpisał prenumeratę na „Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski", który wyjdzie staraniem Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu w 4 tomach. Trzy pierwsze zawierać będą w chronologicznem następstwie dokumenta, tyczące się Wielkopolski aż do r. 1400, tom IV zaś obejmie rejestr, poczet 64 pieczęci chromolitografowanych i mapę Wielkopolski z epoki Piastowskiej. Przedpłata na tom I wynosi 5.20 przyjmowaną będzie do 15 stycznia 1878 r. potem cena będzie podniesioną na 7 80.

— Pan Włodzimierz Stebelski ogłosił drukiem zeszyt I „Humoresek" (50 centów) ocenę podamy wkrótce.

— Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu ogłosiło rezultat konkursu dramatycznego z zapisu śp. Norberta Bredkrajcza. Nadesłano sztuk 41. Z tych do czytania w plenum komisyi polecone: „Mieszko i Oda", „Wojewoda Krystyn", „Królewic Marko", „Ofiara", „Księżna Gorysława", „Dla dobra ogółu" i „Kiejstut". Z tych zaleciła do nagrody: „Dla dobra ogółu", „Gorysława" i „Kiejstut". Ostatecznie jednak komisya zdecydowała się nagrodzić tylko dramat Adama Asnyka (El'y'ego) „Kiejstut", przyznając mu z sumy przeznaczonej na nagrody 1500 marek, tylko 200 m., „Gorysławę" zaś Elizy Tuszowskiej i „Dla dobra ogółu" Jordana poleciła do grania. Przeciwko temu orzeczeniu tylko to mamy do nadmienienia, że komisya zbyt poskąpiła funduszu na nagrody. Księgarnia Polska ogłaszając konkursa na małe komedyjki dziecinne nierównie hojniej wynagradzała autorów. Za dramat uznany za najlepszy zapłacić 400 złp. coś jakby 100 zlr. zwłaszcza mając na ten cel 1500 marek to bardzo mało!

— *Program robotników* Lassala wyszedł w nowem wydaniu nakładem Księgarni Polskiej. Nie upłynęło jeszcze pół roku od wyjścia pierwszego wydania a już okazała się potrzeba zrobienia nowego.

— Deotyma — jak donoszą *Nowiny* — ma obecnie na ukończeniu większą powieść pt „Krzyż nad otchłanią". Rzecz odgrywa się między dwiema przyjaciółkami. Forma: listy.

— Już ukazało się na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie premium roczne dla członków tegoż towarzystwa. Stanowi je sztych Redlicha, dokonany ze znanego obrazu Gersona „Kopernik". P. Gerson pracuje nad nowem płótnem: „Święty Antoni Padewski".

— Z pomiędzy powodzi kalendarzy, jakie się ukazały w tym roku, pierwszeństwo jak zawsze trzyma „Haliczanin i noworocznik humorystyczny Szczutka", a nawet jest on w r. b. o wiele lepszy jak lat poprzednich. Oprócz części kalendarzowej i części informacyjnej wyczerpującej zawiera: Imiona kalendarza słowiańskiego na cały rok, jest to bardzo dobra rubryka, gdyż wielu daje dzieciom imiona według kalendarza, a zwykły kalendarz zwłaszcza galicyjski zawiera takie imiona, które u nas się wcale nie używają, tymczasem w kalendarzu słowiańskim większa część imion jest pięknych, swojskich, rodzimych. Jeszczeby warto było na wzór kalendarzy warszawskich dodawać abecadłowy spis imion, co stanowi wielką dogodność dla publiczności. Dalej Haliczanin zawiera: Kalendarz gospodarski. Przegląd zakładów finansowych. Dział humorystyczny, illustrowany stanowi okrasę tego kalendarza. Wprawdzie życzyćby należało, aby część literacka była bardziej obfitą, gdyż kalendarzy drukuje się u nas przeszło sto tysięcy, a z tej liczby dziewięćdziesiątych czytelników nic więcej nad kalendarz nie czyta, tyle zaś ile nasze kalendarze dają treści literackiej jest za mało do czytania na cały rok nawet dla najopieszalszego czytelnika. Ale tembardziej ważną jest rzeczą aby ta szczupła garstka literatury była doborową, otóż pod tym względem „Haliczanin" stanowczo wyróżnia się z pomiędzy wszystkich tutejszych kalendarzy i ten kalendarz przed wszystkiemi innemi uważamy sobie za obowiązek polecić publiczności.

Od nowego roku rozpocznie w Krakowie wychodzić „Dwutygodnik naukowy" poświęcony historyi, archeologii i lingwistyce.

— Prokuratorya lwowska skonfiskowała *Dziennik Polski*, *Gazetę narodową* i *Dwutygodnik Polski* za umieszczenie „Programu wyborców lwowskich. Co w tem jest niewytłumaczonem to to, że tenże sam program był drukowany w *Czasie* i *Czas* nie został skonfiskowany. Co do czasu „Program" ten był drukowany naprzód w Gazecie i Dzienniku, potem w Czasie i nakoniec w Dwutygodniku. Albo więc polityka Austryi zmieniła się w ciągu tygodnia dwa razy, raz na korzyść programu gdy Czas nie został skonfiskowany i drugi raz na niekorzyść gdy Dwutygodnik został skonfiskowany, albo cenzura we Lwowie jako bliżej Moskwy położonym jest ostrzejszą niż w Krakowie więcej ku liberalnemu zachodowi zbliżonym.

— *Złote myśli* zebrane z dzieł J. I. Kraszewskiego przez Stanisława Wegnera wyjdą w Poznaniu nakładem księgarni N. Kamieńskiego i Sp. na uczczenie pięćdziesięcioletniego jubileuszu J. I. Kraszewskiego. Cały dochód z tego wydawnictwa wydawca przeznacza w upominku od prenumeratorów zacnemu jubilatowi. Wydanie będzie ładne, cena bardzo niska, prenumerata wynosi 1.30 w ozdobnej oprawie 2 zlr. Skład główny na Galicyę w Księgarni Polskiej.

— *Wybór pism Józefa Ignacego Kraszewskiego*, wydanie jubileuszowe, z portretem i życiorysem, na wyłączną korzyść czcigodnego autora. Następujące dzieła wybrane przez komitet wejdą w skład tego zbioru:

Rzym za Nerona. Półdyable weneckie. Dziś i lat temu trzysta. Historya o Jonaszu Korczaku i pięknej cześnikównie. Sfinks. Powieść bez tytułu. Dola i niedola. Czarna perełka. Szaławiła. Jasełka. Chata za wsią. Król i Bondarówna. Pamiętnik Mroczka. Starościna bełzka.

Przedpłata na wszystkie 15 dzieł wynosi 12.50, oprawne w płótno angielskie 22.50. Cena pojedyńczego tomu 85 centów, oprawnego 1.50. Przy zamówieniu należy wyraźnie oświadczyć na które dzieło się zapisuje, lub też na całość.

Prenumeratę przyjmuje Księgarnia Polska we Lwowie.

— Adelina Patti znienawidziła Francyę, która się z nią tak niedelikatnie obeszła w czasie prowadzenia sprawy rozwodowej z markizem de Caux. Dyrektorowi opery włoskiej wypłaciła już *diva* 100,000 franków za niedotrzymanie kontraktu i dała sobie słowo nie występować na żadnej scenie francuskiej. W tych dniach przejeżdżała *incognito* przez Paryż w drodze do Medyolanu, gdzie została zaangażowaną.

— Wiedeńska „Presse" poświęcając osobny artykuł życiorysowi Siemieńskiego — zaczyna go od następujących słów:

„Należał on do bardzo poczytnych ale nielicznych poetów i uczonych polskich, którzy nie ograniczali poglądów swoich szczupłym zakresem ojczystej zagrody..."

Szkoły.

— Z Londynu donoszą, że rada uniwersytetu londyńskiego 14 głosami przeciwko 7, postanowiła dopuścić kobiety do egzaminów z medycyny i wydawać im dyplomy na stopnie bakałarza (równy stopniowi magistra) i doktora medycyny. Uniwersytet św. Andrzeja postanowił także udzielać kobietom stopień magistra sztuk (magister artium), poddając egzaminom na równi z mężczyznami.

— Piszą do nas z Lublina, iż tamże seryo myślą nad urzeczywistnieniem założenia miejscowej szkoły dla głuchoniemych.

— Wyższa szkoła politechniczna w Rydze liczyła w r. z. 286 słuchaczy, przygotowawcza szkoła politechniczna liczyła 182 razem 468. W r. b. liczba słuchaczy doszła w ogóle do 522. W tej liczbie Polacy stanowią trzecią część.

— Na uniwersytet warszawski w b. r. uczęszcza 522 słuchaczy, a mianowicie: na wydział lekarski 262, na prawny 150, na fizyko-matematyczny 65, na historyczno-filologiczny 45. Z tej liczby katolików 301. prawosławnych 128. Żydów 69, ewangelików 22. Oprócz tego uczęszcza na uniwersytet 32 wolnych słuchaczy i 153 farmaceutów.

— W Szkocyi między latami 1872—1876 zbudowano 646 nowych budynków szkolnych, 400 powiększono i na wybudowanie nowych 500 zapadła uchwała. Liczba uczniów zwiększyła się o 120 tysięcy. Wogóle w tych latach wydano na samą budowę szkół 10 milionów zlr.

— W liczbie dwudziestu dziewięciu byłych uczniów szkoły politechnicznej w Rydze, zaszczyconych na zasadzie rozporządzeń p. ministra skarbu, pochwalnemi atestami, znajdujemy trzynastu Polaków.

Z nich na wydziale gospodarstwa rolnego i leśnictwa, otrzymał atestat Tomasz Siemiński.

Na wydziale chemiczno-technicznym, zaszczycony został atestatem p. Kazimierz Łubkowski z guberni radomskiej.

Na wydziale inżynieryi otrzymali atestaty: Witold Wojewódzki, Józefat Chludziński, Floryan Wyganowski, Ignacy Bychowiec i Stefan Szerszeński z guberni piotrkowskiej.

Na handlowym wydziale zaszczyceni są atestami: Juliusz Herman z Warszawy, Wł. Gielczyński z Warszawy, Izydor Szabad, Julian Grzymałowski i Karol Liedke z Warszawy.

ROZMAITOŚCI.

Ostatni akt krwawego dramatu, którego ofiarą padł profesor Girsztowt, rozegrany został w zeszły piątek w salach sądu okręgowego.

Czytelnikom naszym znany jest fiktyczny przebieg tej strasznej, a jednocześnie dziwnie prostej zbrodni, której szczegóły najzupełniej potwierdziło publiczne śledztwo sądowe, niszcząc wszelkie, zaczynające krążyć po mieście, poetyczne ubarwienia.

Tak jest: przed sądem okazało się dowodnie, iż Sroczyński nie miał żadnej innej przyczyny do targnięcia się na życie zasłużonego męża, jak tylko urojoną pretensyę o niewypłacenie mu pensyi zecerskiej za czas pozostawania bez roboty, od której został uwolniony jakoby w niewłaściwym terminie.

Okazało się również, iż zbrodniarz działał z zupełnym rozmysłem, obmyślając i przygotowując systematycznie wszystkie szczegóły zamachu.

To też akt oskarżenia obwiniał Sroczyńskiego o zwykłe rozmyślne morderstwo przewidziane art. 1.464 kod. k. gł. i pop., ale prokurator ks. Urusow w szczegółach śledztwa, znalazł jeszcze jedną obciążającą okoliczność, a mianowicie wymocnił kwalifikacyę przestępstwa ze względu, iż Sroczyński był w stosunku do Girsztowta robotnikiem, który się targnął na życie swego pana, co jest przewidziane art. 1.451 i najsroższą zagrożone karą.

Ekspertyza chirurgiczna złożona z pierwszorzędnych powag naukowych oświadczyła się za bezwarunkową śmiertelnością zadanej rany. Tak opiniował dr. Kosiński i dr. Brodowski, tak również i dr. Orłowski, którego sąd powołał już na samem posiedzeniu, wskutek żądania obrońcy, który ze swego stanowiska usiłował wyczerpać wszystko, co można dla osłabienia doniosłości opinii.

Nie pomyślniej dla podsądnego wypadła i ekspertyza psychiatryczna. Doktorowie: Pląskowski i Rote, oświadczyli kolejno, iż nie mają żadnych danych do podejrzenia w Sroczyńskim choroby obłąkania. Dr. Chomętowski przypuszczał co najwyżej ogólną stępiałość umysłową.

Po takim przebiegu śledztwa, prokurator w bardzo efektownem przemówieniu wykazując zasługi zamordowanego i szlachetne cechy jego charakteru, stratę jaką poniosło społeczeństwo przez śmierć G., wymierzył wysokość zbrodni spełnionej przez Sroczyńskiego.

Dowodził następnie niebytu jakichkolwiek łagodzących okoliczności i skutkiem tego żądał wymierzenia najwyższej kary. W końcu zwrócił się z apostrofą do podsądnego mówiąc, że społeczeństwo wyprze go się musi i że nie ma już dla niego miejsca pod jasnem niebem ojczystej ziemi, lecz przyjąć go musi odległy step sybirski, gdzie czeka nań zasłużona kara.

Publiczność przyjęła tę apostrofę z widocznemi oznakami zadowolenia, co samo przez się utrudniło jeszcze i tak niewdzięczne zadanie obrony.

Obrońca podsądnego adwokat przysięgły J. M Kamiński, rozpoczął też swe przemówienie wyznaniem trudności położenia.

„Straszny byłby los podsądnego — są słowa obrońcy — gdyby go sądził naród na publicznym rynku; cokolwiek bądź jednak powiedzą nasze własne uczucia i zażalenia dyletantyzm, dla sądu istnieje tylko podmiot i przedmiot przestępstwa".

Na tym temacie rozwinął obrońca swe dowodzenie, starając się przekonać odnośnie do objektywnej strony czynu, iż rana denata nie była śmiertelną, nie miało więc miejsca spełnione zabójstwo, lecz jedynie zadanie rany, a co najwyżej w razie uznania zamiaru, dokonane usiłowanie zabójstwa, które to wyróżnienie skutkować musi łagodzącą modyfikacyę kary.

Co do podmiotowej strony t. j. osobistości sprawcy, obrońca usiłował uzasadnić w nim pewien rozstrój umysłowy, a przynajmniej stan gwałtownego afektu, będący rezultatem psychicznych przyczyn wytworzonych uprzedniemi życiowemi warunkami i ostatecznem wyjątkowem podnieceniem.

Po dwukrotnych replikach między prokuraturją a obroną, których główną treścią był spór o zastosowanie art. 1.451, sąd pod prezydencyą prezesa Zakrzewskiego, udał się do sali narad i po upływie godziny ogłosił licznie zebranej i wysoko zainteresowanej publiczności, wyrok skazujący Sroczyńskiego na dożywotne ciężkie roboty. Kara śmierci w Rosyi dla pospolitych zbrodniarzy nie istnieje.

O ile nam wiadomo, obrońca zakłada od tego wyroku appellacyę, mającą na celu dowieść głównie, że podsądny nie był u G. robotnikiem tej kategoryi jaką ma na myśli 1451 art. k. k. g. i p., i że skutkiem tego kara winna być złagodzoną.

Kończąc na tych słowach rozgłośną sprawę zabójstwa ś. p. Girsztowta, winniśmy raz jeszcze zaznaczyć, iż obrońca podsądnego adwokat Kamiński, miał niezwykle ciężkie a niewdzięczne zadanie do spełnienia.

Zamknąwszy rzecz swoją w granicach jurydycznych, J. M. Kamiński przemawiał ze znaną wprawą i ścisłą argumentacyą.

* * *

Do charakterystyki zabójcy profesora Girsztowta dodajemy następujące szczegóły:

Aleksander Sroczyński jest wzrostu średniego, szczupły, o wyrazie twarzy chmurnym i złowieszczym. Oczy małe, głęboko osadzone, rzucają od czasu do czasu spojrzenia z ukosa na audytoryum. Czoło niskie, głowa i ukształcenie czaszki zdradzają instynkty niskie. Zarost pod nosem i na brodzie nie bogaty, wije się w bezkształtnych kępkach po twarzy.

Na zapytania prezesa odpowiadał zabójca niezgrabnem kiwaniem głowy, przyczem twarz przybierała głupowaty wyraz.

W czasie rozpraw zachowywał się Sroczyński obojętnie, jakby się przysłuchiwał obojętnemu jakiemuś dla siebie przedmiotowi.

Gdy przedstawiono sądowi corpus delicti — nóż, powstał szmer między słuchaczami. Sroczyński zrazu siedział na ławce spokojnie, następnie gdy obrońca jego zażądał okazania sobie noża i zwrócił go komornikowi, który go przyłożył do innych przedmiotów, Sroczyński wstał, zaczął się ruszać niespokojnie, wyjrzał za kratkę, jakby dla przekonania się czy nie znajdzie sposobu wyjścia, próbował przesadzić nogę przez baryerkę, następnie niezrozumiałemi zrazu znakami, zwrócił się do prezesa, widocznie pragnąc, aby mu ten nóż dano do ręki co i obrońca powtórzył, tłomacząc życzenie swego klienta.

Gdy prezes zauważywszy ruchy podsądnego, zwrócił ku niemu wzrok przenikliwy i nakazał zbliżyć się żandarmowi z obnażoną szablą do stołu, na którym leżał nóż, Sroczyński ze złością usiadł i wyjąwszy z bocznej kieszeni chustkę do nosa ugryzł jej kawałek szarpiąc w ręku, poczem pochylił zupełnie głowę w dół ławki, tak, że prezes polecił komornikowi sprawdzić co Sroczyński pod ławką robi.

W ogóle ten epizod zachowania się podsądnego dla wielu był zagadkowym; dla tych, którzy go zauważyli, — Sroczyński przedstawiał w tej chwili lisa drapieżnego szamocącego się w swej klatce...

TELEFON W WARSZAWIE.

Czytamy w Kuryerze warszawskim:

A więc... można rozmawiać z osobą będącą w Skierniewicach nie opuszczając Warszawy, i to rozmawiać w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, głosem nie zaś umówionemi znakami.

Dowiodła tego próba telefonu wczoraj o godzinie 10 i pół wieczorem odbyta na stacyi telegraficznej drogi warszawsko wiedeńskiej, — na której byliśmy obecni.

Po daniu sygnału, że osoby wyprawione do Skierniewic przystosowały już telefon, p. Prauss rzucił kilka zapytań, na które otrzymał od pana Wesselyego ze Skierniewic stosowną odpowiedź.

Zawołał potem:

— Niech mówi p. Krajewski — i p. Krajewski dawał odpowiedzi.

— Proszę liczyć — rzekł następnie.

Przez telefon było słychać: jeden, dwa, trzy itd.

— Proszę wyliczać stacye drogi warszawsko-wiedeńskiej — rzekł znowu p. Prauss, i oddał telefon autorowi niniejszego artykułu, który usłyszał cicho, z dźwiękiem metalicznym wymienione wyrazy: Pruszków... Ruda Guzowska... a po zapytaniu „Czy pan Chmieliński jest w biurze“. przejął własnemi uszami idącą ze Skierniewic czysto i nader wyraźnie wymienioną odpowiedź: „Chmielińskiego nie ma“.

Potem p. Prauss przysyłał następujące zdania:

— Jeźli macie jaką muzykę to zagrajcie.

Usłyszeliśmy w telefonie jakieś uderzenia w takt, ale muzyki niepodobna było odróżnić.

— Muzyki nie słychać — zawołał p. Prauss — proszę więc zmówić modlitwę Ojcze nasz.

I w telefonie dały się słyszeć wyrazy tej powszedniej modlitwy, które osoby zaproszone na próbę chciwem uchem chwytały.

Oprócz tego wymieniono wiele innych jeszcze zapytań i odpowiedzi, które jaknajlepiej przekonały nas o możności przesyłania dźwięków mowy ludzkiej za pomocą elektryczności, nawet z punktów o 10 mil oddalonych.

Wprawdzie głos przesyłany jest słaby, twardy, metaliczny i jakby z za ściany przechodzący — ależ to dopiero początek.

Mamy dopiero telefony w zarodku, które tak się mają do telefonów jakie za lat kilka, za rok mieć będziemy, jak pierwsze żniwiarki lub machiny do szycia, do maszyn dzisiaj używanych.

Chodzi tylko o zasadę, o podstawę, ulepszenia muszą przyjść po licznych próbach, jakie się z budową telefonów dokonywają.

Doświadczenie wczorajsze było wykonane w nader niekorzystnych warunkach.

Na drut telegraficzny, do którego telefony były przystosowane, przepływały ciągle prądy telegraficzne, z innych drutów, po których depesze przebiegały.

Zdaje się, że przyczynę tego przypisać należy jużto wilgoci, która uczyniła słupy telegraficzne dobremi przewodnikami i pozwala prądom spływać z jednej linji na drugą, już też indukcyi galwanicznej.

W skutek tego słychać było ciągle w telefonie pukanie przyrządów telegraficznych Morse'a.

Wpływ powyższy a nadto odpływ elektryczności wysyłanej w nadzwyczaj małej ilości przez telefon, w powietrze, sprawdzono już w Niemczech i dla tego też do tych prób używają tylko liny telegraficznej podziemnej doskonale odrobionej.

Dalej... telefon za pomocą którego rozmawialiśmy, nie tylko jest jednym z pierwszych przyrządów tego rodzaju, ale nadto jest pierwszym telefonem warszawskim, zbudowanym przez p. Petscha według rysunku przysłanego z Berlina na karcie korespondencyjnej.

Czytelnicy pojmą, ile to jeszcze zostaje pola do ulepszeń i choć dzisiaj telefon jest tylko zabawką, ciekawym aparatem, jest tylko jednym z największych cudów naukowych — to niezadługo stać się może niezbędnym przyrządem oddającym człowiekowi znaczne przysługi w wielu okolicznościach potocznego życia.

Telefon p. Petscha, jest tak dobrym jak berliński, na którego wzór jest zbudowany, próby wiec z berlińskim nie byłyby ciekawe.

Ale słyszeliśmy, że przywieziono do Warszawy telefony angielskie.

Postaramy się zobaczyć, i usłyszeć je i damy jaknajprędzej sprawozdanie z ich działania.

W końcu nadmieniamy, że telefony, z któremi robiono doświadczenia w Berlinie i w Warszawie, nie są podobne do pierwszego telefonu, wynalezionego przez Bella, o którym już przed kilkoma miesiącami zawiadomiliśmy czytelników.

Różnica polega na tem, że w dzisiejszych telefonach odbieracz i przesyłacz są identyczne i że tak w jednym jak i w drugim jest magnes stały, gdy w odbieraczu Bella był elektromagnes z miękkiego żelaza.

O północy powtórzone próby, wobec składu dyrekcyi drogi żelaznej warszawsko wiedeńskiej wypadły o wiele lepiej, z powodu usunięcia w znacznej części przeszkód, napotykanych przy pierwszej próbie.

Można już było usłyszeć tony skrzypcowe i pozytywki, lubo niewyraźnie, dźwięki zaś aryj granych na trąbce w Skierniewicach, dochodziły do Warszawy doskonale.

Powtórna próba przez całą godzinę utrzymała zaciekawienie obecnych.

Prócz p. Petscha wyrabia też telefony w Warszawie fabryka G. Gerlacha, w której ciekawi o skuteczności tego wynalazku na znacznej przestrzeni, przekonać się mogą.

Fabryka pana G. mieści się na Tamce pod nr. 30.

Helling, budowniczy nadworny w Berlinie, zrobił zegar wahadłowy, zbliżający się do perpetuum mobile, bo sam się nakręca, w miarę jak ciężary jego się spuszczają. Dotychczas zegar ten jest zrobiony na małe rozmiary pokojowe — niewiadomo zaś, czy mógłby ten wynalazek być zastosowanym do zegarów wieżowych, wielkiemi ciężarami opatrzonych. Szczegółów o tym nowym wynalazku dzienniki berlińskie nie podają.

W mieście amerykańskiem Saint-Jon zawarty został niedawno układ pomiędzy właścicielem domu i budowniczym, w myśl którego ten ostatni zobowiązał się wybudować trzypiętrowy dom w ciągu dni trzech!... Po upływie terminu dom rzeczywiście został wybudowany z zadowoleniem obu stron.

— Szczególny wyrok znajdujemy w Siew. W. Sędzia pokoju powiatu Starobielskiego, Gapanow, wskutek skargi właściciela ziemskiego Marinowa, na włościanina Judę Bezsmertnego o niedotrzymanie umowy postanowił: „Wyegzekwować od Judy Bezsmertnego na rzecz Marinowa 8 rubli za czetwert pszenicy, a za nieuiszczenie tej należności w terminie oznaczonym rubli 360!“ Sędzia zowie się Gapanow!

Od Redakcyi.

Wiersze p. t. „Pamięci“, „We mgle“, „Dziwożona“, „O skowronki“, „W tureckiej ziemi“, „Muzo“, „Do Alberta G.“, nie będą drukowane w „Tygodniu“.

Zapowiedziane prospektem dla Szan. Prenum. Tygodnia 200 dzieł do wylosowania nie może przyjść do skutku z powodu iż rząd jak się dowiadujemy uważałby tę sprawę jako loteryę, a loterya w Austryi jest monopolem rządowym. W zamian za to roześlemy prenumeratorom pierwszy tomik „Śpiewnika polskiego“, który postępuje do druku, a który sądzimy będzie miłym gościem w każdym domu polskim.

Prenumeratorom „Tygodnia“ zawsze przysługuje prawo nabywania za połowę ceny następujących dzieł:

Karola Darwina. Pochodzenie człowieka i dobór płciowy, wydanie illustrowane w 3 tomach, cena 12 złr. dla pren. 6 złr.

Reveillé-Paris, Starość, podręcznik lekarski. Cena 4 złr. dla pren. 2 złr.

Wundt, Wykłady o duszy ludzkiej i zwierzęcej 2 tomy. Cena 9 złr. dla pren. 4 złr.

Treść Nr. 17.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.